

BIBLIOTEKA PUBLICZNA
Nr 992c
LUBLIN
M. H. Łurczyński



Jednodniówka ŁUCKA

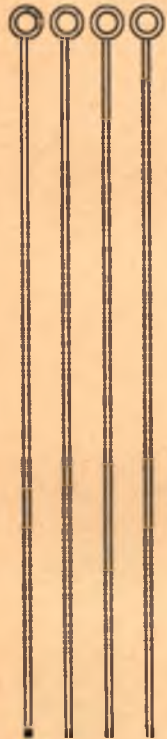
Na korzyść nowobudującego się
kościół w Sokolu na Wołyniu.

Jednodniówka . Łucka

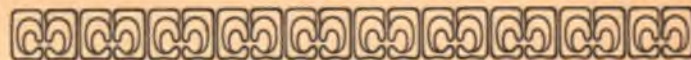
Druk Piotra Laskauera i S-ki,
Warszawa Nowy-Świat Nr. 41.

30705

Jednodniówka Łucka



Na korzyść nowobudującego się kościoła w Sokolu na Wołyniu.

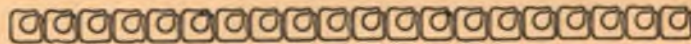
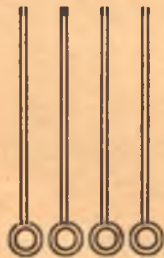


*Szczęśliwy, kto buduje i orze i sieje,
A nie trwoni bezbożnie naddziadów spuścizny,
Kto za hasło wziął pracę dla Matki-Ojczyzny
I śmiało krocząc naprzód, ma w Bogu nadzieję...*

*Nie wszystkich uposażył Stwórca jednakowo,
Lecz każdemu coś dano,—szanujmy-ż Dar Boży!—
Zbierzmy siłę do czynu!... A całość się złoży
I ręką pracowitą i sercem i głową....*

Przemysław Konopacki.

☒ CENA: ☒
NIE MNIEJ
RB. 1 KOP. 50



Skład główny: Rożyszcze, Woł. gub.—Ks. M. Tokarzewski.





Zamiast Przedmowy.

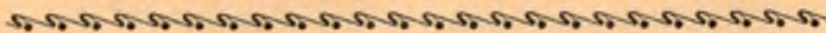


*Lud łaknie?... Więc go nasycić trzeba,
Lecz ja o głodzie ciał tylko słyszę...
Czyż ten lud łaknie jedynie chleba?
Czy chce brać, kłócąc społeczną ciszę,
Wszystko od ziemi, a nic od nieba?*

Gomulicki.



dawałoby się rzeczą najnaturalniejszą, że skoro wśród wielu celów książki niniejszej, jest powiększenie funduszów nowobudującego się kościoła w Sokolu, należałoby więc na wstępie napisać historię Sokola. Do historii potrzebne przedewszystkiem dokumenty. Niestety, znalazłem tylko kilka. Jeden z nich w naturze. To wały obronne, a raczej resztki wałów obronnych, które otaczały niegdyś Sokol, broniąc go od napadów tatarskich. Wzniesione za czasów Zygmunta Augusta ręką ludu miejscowego, wyrobiły mu różne ulgi i przywileje, które do dziś dnia prze-



chowują się... na papierze z własnoręcznym podpisem Władysława IV.

Ten dokument historyczny bardzo ciekawy, widziałem w miejscowym „mieszczańskim zarządzie“. Dużo zachodu, pracy i..., musiałem ponieść dla dopięcia tego celu. Bo jakiś domorosły historyk Sokolski i prawnik wyjaśnił, że na podstawie tego dokumentu można dużo ziemi dostać, bo „przecież podpisał go król Polski“, a więc nie należy pokazywać nikomu, żeby nie odebrano i nie pozmieniano. Napisany na pergaminie, obecnie zniszczony, powalany, z wyblakłymi literami, nie mógł być odczytany w całości; to, com mógł wyczytać przytaczam: — „Z łaski Bożej Król Polski Wielkie Książę Litewskie, Ruskie, Pruskie, Mazowieckie, Żmudzkie, Inflanckie, Smoleńskie, Czernihowskie. A Szwedzkij Gottzkij Wandalskiej dziedziczny KRoz. Oznajmiamy tym listem Naszym wszem wobec i każdemu z osobna, komu to wiedzieć należy, Isz produkowany przed Nami Extrakt, za Świętej Pamięci Króla Jegomości Zygmunta Trzeciego Pana Ojca Naszego Z Mniejszej Cancellarii Naszej Ruskiej Coronnej wydany, amenoicznij zawierający w sobie wpisanie Przywileiu Pergaminowego, od Króla Jegomości Śtej Pamięci Zygmunta Augusta Dziada Naszego Urodzonym Wosiłowi y Markowi Sołtanowiczom Sokolskim, na osadę Miasteczka ich dziedzicznego Sokola, także na Targi, Jarmarki, Myta i insze pożytki, tem na wieczność przed unią

z Wielkim Ksienstwem Litewskim dany i niczym nie naruszamy. I proszono nas, abyśmy, tenże Przywilej Extraktem przed Nami pokładamy mocą i powagą Naszą Królewską Stwierdzić i umocnić raczyli, który to oryginał Przywileju tego pismem Ruskiem pisany, tak się w sobie ma: „(Dalej następuje tak niewyraźne pismo Staro-Sławiańskie, że w żaden sposób niemożem go przeczytać, ani ja, ani miejscowy paroch.)“ My tedy Władysław Król do prośby pomienionej łaskawie się Skłoniwszy, Przywilej wyżej inserowany, we wszystkim przywileiu tego punktach, clauzulach artykułach, prawu pospolitemu nie przeciwny... wustawicznym był używaniu, mocą i zwierzchnością Naszą Królewską Zmocnić i utwierdzić raczyliśmy

Co dla lepszej wiary ręką naszą podpisawszy się, Pieczęć Koronną przycisnąć wskazaliśmy ARszawie dnia Dziewiątego Mca Lutego Roku Pańskiego 1647 Pannowania Królestwa Naszego Polskiego XIV. Szweckiego Roku.

Wladislaus Rex

Thomas

.
.

Z wypisu „z ksiąg Grodzkich Zamku Łuckiego“ dowiadujemy się, że Sokol była to wioska i dopiero Zygmunt Au-

gust w 1564 r. 5 czerwca nadał „przywilej pergaminowy na osadę miasteczka“. Właściciele i Właścicielki Sokola we wszystkich dokumentach tytułowali się książętami Sokolskimi. Sokol miał niegdyś baszty, mosty przez Styr i cały był otoczony wałami. Baszt ani śladu, mostów też, resztki wałów, pielęgnuje starannie na gruntach swoich obecny właściciel Sokola p. Stępkowski i proboszcz kościoła. Te zaś, które były w mieście i wiosce, zniszczył czas i lud, kopiąc glinę w nich na nowomodne chaty z ziemi. Stolica „Księstwa Sokolskiego“ to dziś najlichsza chyba, najnędniejsza miejscina poleska, brudna i cuchnąca. Posiada cerkiew jedną drewnianą i jedną murowaną, naturalnie przerobioną z kościoła unickiego. Ma też w tej chwili i kościół murowany, świeżo zbudowany, ale nie wykończony jeszcze. Historia kościoła, a raczej kościołów Sokolskich tak się przedstawia według opisu urzędowego: „Kościół parafialny drewniany najprzód przez księżnę Sokolską, Magdalenę Jakocką, około roku 1623 zbudowany. Lecz z dawności swojej, będąc blizkim upadku, kosztem W. J. X. Łukasza Wierzbickiego, tegoż kościoła Plebana roku 1784 na nowo zbudowany“. — Kościół ten przetrwał do roku 1903, póki wskutek niedbalstwa zakrystyana, który zostawił świecę niezgaszoną, nie spłonął doszczętnie.—W sierpniu 1906 roku zastałem tylko zgliszcza, i 5 rb. 4 $\frac{1}{2}$ kop. zebrane na nowy kościół i budynki bo literalnie wszystko spaliło się. Dziś kościołek ładny, nie





NOWOBUDUJĄCY SIĘ KOŚCIÓŁ W SOKOLU NA WOŁYNIU.



wielki co prawda, ale wystarczający dla tak małej parafii, zbudowałem. Źle wyraziłem się—zbudowałem. Zbudowało serce ludu Polskiego! Bo kiedym rozesłał odpowiednie odezwy do Księży Proboszczów, do pism ludowych i 100 listów do magnatów, odpowiedziało na moją prośbę kilkunastu magnatów ofiarowując razem około 800 rb. (NB. pewien milioner ofiarował 15 piętnaście kopiejek), reszta, ani grosza lub odmową, że, „ciężkie czasy i zewsząd proszą“, więc..... zapewne nigdzie nie posyłają.—Księża ogłosili z ambony moją odezwę, a dając przykład ofiarności, zachęcili do składek. (Każdy dający 20 kop. zostaje fundatorem kościoła i korzysta ze Mszy Świętych, które odprawiają się co miesiąc za dobrodziejów). W ciągu kilku miesięcy zebrałem 13.000 rb. z górą, **od ludu**. Posypały się listy pełne współczucia i dowodów wielkiego serca i bratniej miłości. Kilku listami dzielię się z czytelnikami Jednodniówki. Te listy, to też dokument historyczny, to piękna karta do dziejów Sokola. Z listu Ks. Dziekana Piaseckiego z Sołbkwiec z Podola:

„Jeszcze przed odczytaniem odezwy Sz. Ks. Proboszcza w kościele, parafianki moje, należące do Żywego Różańca ze wsi Łoszkowice, posłyszały rozmowę, że gdzieś na Wołyniu kościół spalił się i budynki. Nie zwlekając, wezwały towarzyszek z innych trzech kółek różańcowych i ofiarowały jeden dzień pracy na kościół. Zarobione pieniądze 20 rb. 10 kop. przesy-

łają na ręce Wasze łącząc życzenie: „Boże dopomóż w wielkim dziele“!!

Piękny ten i szlachetny uczynek siostrzyczek Żywego Różańca opisałem w Gazecie Świątecznej. Wkrótce potem otrzymałem od Adama Grzywacza robotnika z fabryki Toneta z Radomskiego list tej treści:

„Niech b. p. Jezus Chrystus; mam nadzieję odpowie mi Sz. Proboszcz na wieki wieków, amen! Sz. Ks. Proboszczu, czytałem w Gazecie Świątecznej, o tak dużym nieszczęściu w Sokolu i o zacnych różach, co ofiarowały swój całodzienny zarobek przy burakach na budowę nowego Kościoła. Ja jestem robotnik, ofiaruję cały tydzień swojego zarobku i posyłam 5 rb. ze szczerego serca i chcę być uczestnikiem nowego kościoła, i chcę być zapisanym dobrodziejem tego kościoła, bo choć jestem grzesznikiem, z całego serca i z całej duszy kocham Pana Boga, kocham Kościół, kocham i szanuję Księży i kocham też Ojczyznę i wszystkich ludzi... tylko socjalistów nie będę słu-chał. Teraz proszę przyjąć tę ofiarę, bo to z ciężkiej mojej pracy.“

List zbiorowy ze wsi Chocianowic, Piotrkowskiej gub.

„Dowiedzieliśmy się o nieszczęściu jakie dotknęło braci naszych w parafii Sokolskiej, więc to nas wzruszyło do głębi serca, że bracia nasi pozostają bez domu Bożego, więc idziemy im z pomocą, nie dużą, ale z serca.“

Od robotników fabryki Żyardowskiej:

„Dziękujemy Księdzu Proboszczowi, że był tak łaskaw i po-
dał do Gazety Świątecznej o potrzebie Sokolskiego Kościoła, że
i my możemy zostać, małą ofiarą fundatorami kościoła.“

Z listu Ks. Rozemberga, z Murafy: „Murafowscy parafianie
bardzo chętnie rozebrali cegielki, z czego zebrało się 200 rb. jest
tam i moja i Szadury cząstka.“

Z listu Ks. Grzymajły z Michałpola: „Cieszę się bardzo,
że mogłem choć tem dopomóc Ks. Proboszczowi. Lud bar-
dzo chętnie niósł swą ofiarę, mówiąc „biedny Ojciec musiał
duże tak terpity.“

Z listu Ks. Kanonika Brzezińskiego: „Serdecznie i szczerze
dziękuję za nadesłanie mi kwitariusza i danie przez to możności
przyczynienia się do chwały Bożej i budowy nowego kościoła.“

Od wychodźców z Ameryki: „Posyłamy ze łąką w oku
i z serca szczerego 20 dolarów i życzymy, żeby Bóg pocieszył
braci naszych, żeby kościół prędko zbudował się, a my do niego
dostali się.“

List dziecka: „Szanowny Księżulu! Ja mały jeszcze jestem
i od bardzo dawna zbieram i uzbierałem tylko 1 rb. 15 kop.,
które posyłam, może Bóg mi pomoże, że ja będę dobrze uczyć
się, czego bardzo pragnę. Bolesław Okulicz.“

List milionera: „Budżet zamknięty nic dać nie mogę.“

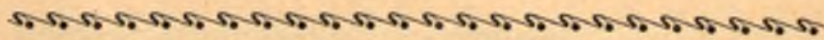
Drugi, od innego z zarządu: „Na dach radzę kupić „suchosto-
ju“, bo to z zarządu taniej, a wątpię, czy dostanie Ksiądz gratis.“

Kupiłem u innego milionera. Zbudowałem i w Bogu nadzieję, że wykończę. Dopomogą mi ludzie dobrej woli i czystego serca. Pomożesz i Ty czytelniku, szląc swoją ofiarę bodaj choć najmniejszą (adres: Rożyszcze, Woł. gub. m. Sokół, Księdzu Proboszczowi)—bo to kościół dla ludu, a jak mówi Gomulicki:

Lud nasz bez Boga—ciało bez duszy,
Możecie bryłę wtoczyć bezładnie
Nawet na szczyty społecznej głuszy.
Ale się strzeżcie! Gdy bryła spadnie,
Druzgocząc wszystko—was najpierw skruszy.»

Sokol
26/IV 908 rok.

Ks. Marjan Tokarzewski.

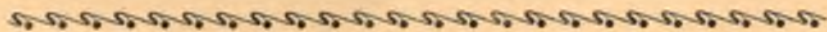




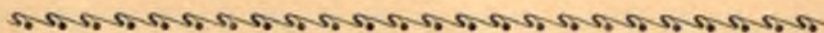
Rzym i kwestya rzymska.



Nieraz ludzie nie bardzo mądrzy, a wraz z nimi i bardzo niemądrzy także, żartują sobie wesoło z miejsc i z obrazów cudownych, ale to już od wieków tak się dzieje i działo na ziemi naszej, że ludzie niebardzo mądrzy i bardzo niemądrzy śmieją się ze wszystkiego, co stoi po za końcem ich nosa, choć takich rzeczy jest bardzo dużo, a są często bardzo wielkie i bardzo piękne. Faktem jest jednak, że Pan Bóg nietylko wybiera miejsca, w których zlewa na ludzi szczególne łaski Swoje, ale że wybiera także ludy, których w szczególny sposób do celów swoich wzywa i miasta, które są jakby osią dziejów ludzkości. Dość wspomnieć takie narody jak żydzi, grecy i rzymianie i takie miasta, jak: Jerozolima, Ateny i Rzym. Pierwsze dwa rolę swoją już odegrały i tylko skutki ich działalności trwają zawsze. Rzym zaś dotąd jest sercem ludzkości, miejscem, gdzie odgrywa się dramat dziejowy, wobec którego wznoszenie się i upadanie narodów i królestw jest tylko drobnym epizodem.



Przed laty dziesięciu pierwszy raz byłem w Rzymie i pewnego popołudnia stanąłem w Kolizeum. Przedemną piętrzyły się łuki na łukach, filary na filarach i mury na murach. Czarne czeluści korytarzy i jaskiń mówiły do mnie strasznym głosem dzikich zwierząt, które się w nich czały, szczękiem oręza gladiatorów, jękiem i rozpaczą tysięcy ofiar, które stamtąd gnano na środek areny, gdzie właśnie stałem. Tu na tym piasku konały na krzyżach kobiety i mężczyźni, tu ich palono, tu ich szarpały lwy i tygrysy; a tam wyżej, gdzie dziś rosną jakieś drzewka i zielska dzikie, siedzieli ludzie okrutniejsi od lwów i tygrysów, siedziały kobiety równouprawnione w bezwstydzie i okrucieństwie z mężczyznami, patrzyły na wszystko czyste westalki i nadczłowiek poganizmu, taki, jakiego dziś wymarzył sobie Nitsche, cesarz rzymski, obojętnie przyjmował pozdrowienie, jakie mu z rozpaczą w sercu ślali z dołu gladyatorowie: *Ave, caesar, morituri te salutant*. Trochę dalej zaś na wzgórzu Palatyńskim, sterczały czarne olbrzymie resztki pałacu cesarów, złotego domu, który wznosił Neron, a inni ozdabiali i przerabiali. Chyba człowiek ogłupiony i znieprawiony przez „Myśl niepodległą“ i jej siostrzane a pobratymcze pisma, nie poczuje dreszczu zgrozy, stanąwszy wobec tych ruin, nie posłyszysz głosów i jakich jeszcze głosów—które z tych miejsc bezustanku wołają, choć na pozór słyhać tylko szum wiatru i turkot dalekiego powozu. Te ruiny i to co je otacza, to nietylko symbol, ale to naoczny i dotykalny wykaz całej działalności poganizmu. Tam na Kapitolu zasiadali najwyżsi kierownicy państwa i tam knuły się pomysły i plany podbicia



świata całego. Naco, poco, dla jakich celów? Cele te mamy tuż obok. W tem miejscu pod Kapitołem było aerarium, skarbiec państwowy i w nim składano łupy ze wszystkich narodów zebrane, a obok więzienie mamertyńskie, gdzie męczono i mordowano naczelników tych narodów, które śmiały sprzeciwić się obdarciu i niewoli. Te mordy i te plany szerokie doprowadziły do tego, że na Palatynie stanął pałac olbrzymi, a w nim mieszkali Neron i Kaligula i Heliogobal i Kommodus i Dyoklecyan i oni to korzystali ze krwi, łez, potu i mienia wszystkich narodów ziemi, a w jaki sposób korzystali, najlepiej wykazuje to właśnie Kolizeum. Poganizm wytworzył niewolę mas i despotyzm państwa uosobionego w cesarze, złupił i skrzywdził świat cały na to, żeby cesarz i jego słudzy mogli nurzać się w rozpuście, zbytku i okrucieństwie, nim razem wszyscy, pan i niewolnicy jego, nie zapadli w nicość, spodleni i przez potomność przeklęci.

Kiedy poganizm stanął u zenitu potęgi i zepsucia, w podziemiach puszczała korzenie nowa wiara, nowa roślina, lecz kiedy jej parostki pokazywały się na ziemi, poganizm je kosił i niszczył bez miłosierdzia; roślina jednak, krwią własną podlewana, rosła i rosła, aż wreszcie rozsadziła zbutwiały i zgniły poganizm. Jej świątynie wyszły z podziemi, jej działalność i wpływy rozszerzały się i wzmacniały ciągle, objęły świat cały i wyraziły się w dwóch widomych zjawiskach.

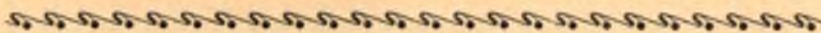
Pierwiastek duchowy, idealny, uwidoczniał się we wspaniałym kościele Św. Piotra i tej kopule, którą się on nakrył; pierwiastek czynny, społeczny, znalazł swój wyraz w monarszej

władzy i niepodległości państwowej Papieża. Poganizm zwyciężany, nigdy jednak całkowicie nie umierał, a od XV wieku zaczął dawać coraz widoczniejsze znaki powracających znowu sił. Humanizm, renesans, protestantyzm, filozofizm, rewolucja francuska, to główne etapy jego rozbudzania i rozwoju, a wiek XIX był świadkiem zwycięstw jego licznych i wielkich. Obecnie kościół Św. Piotra i pałac watykański stanowią skałę, dokoła której huczy wzburzone morze pogańskie, pragnące i to pochłonąć, jak już pochłonęło tyle. I w tym właśnie tkwi tragizm chwili, że kiedy poganie rozumieją o co tu chodzi, a jeżeli nie rozumieją, to przeczuwają instykiem nienawiści, katolicy do niedawna jeszcze nic a nic nie pojmowali, nietylko sprawy swej nie bronili, ale współczuli swym wrogom najzawziętym. Obecnie jest znacznie lepiej, świadomość budzi się i wśród katolików, ale iluż ich jest jeszcze zwłaszcza między Polakami, dla których kwestya rzymska jest już całkowicie rozwiązana, którzy myślą że Papież upiera się przy władzy świeckiej przez żądę panowania, jak np: Burboni Neapolitańscy, albo zmarły niedawno W. Książę Toskański; którzy Rzym zwiedzają dla nabożeństwa, albo przez kult piękna i historii i w zatargu widzą tylko coś nakształt sporu proboszcza z kolatorem—uważają, że przy dobrej woli Papieża i króla Wiktora Emanuela, wszystko się *jakoś* ułoży. Ach, to nasze polskie „jakoś”, to nasze polskie nieuctwo, nieznajomość najważniejszych i najżywoźniejszych spraw tak wszechświatowych, jak i naszych własnych! Nasi katolicy, poczciwi, a tak bardzo nieświadomieni uwierzyli tym wszystkim bredniom, jakie tak

długo bez żadnego zaprzeczenia wśród nich rozsiewano o świeckim dziedzictwie Papieża i teraz spokojni a obojętni, myślą, że nic ich może nie obchodzić spór między Papieżem, a królem włoskim. Król Włoski ależ on z całym swoim monarszym majestatem i wielotysięczną armią tyle znaczy w dramacie jaki się w Rzymie rozgrywa, co król portugalski, szwedzki, czy jaki inny.

Gdy spór zostanie rozstrzygnięty, zniknie on z Rzymu. jak zniknął Napoleon i Cola di Rienzi i cesarze Bizantyjscy i królowie longobardów. Król Włoski to prawie tylko pionek w ręku rzeczywistego przeciwnika Papieża i katolicyzmu, ten zaś mieszka nie w pałacu Kwirynalskim, lecz w pałacu Borghe-se, a jest nim wielki mistrz masoneryi. Dla zrozumienia tego twierdzenia, trzeba zwrócić uwagę czytelnika na dwie okoliczności, niezmiernie ważne.

Najdroższą ze wszystkich swobód jest bezwątpienia swoboda sumienia, t. j. wolność wierzenia stosownie do przekonań swoich. Wolności tej poganizm nie zna, bo tam państwo, albo raczej rząd wszechmoc swoją rozciąga do wszystkiego, a przede wszystkim do sumienia. Wydarcie państwu prawa rządzenia sumieniami swych podwładnych, a oddanie go w ręce niepodległego pod tym względem Kościoła, było jedną z największych w obec ludzkości zasług chrześcijaństwa. Jak długo więc świat był rzeczywiście chrześcijańskim t. j. katolickim, dbał on o wolność swego sumienia, a zatem we własnym interesie i o wolność obrońców jego t. j. przedstawicieli Kościoła, a przede wszystkim o niezależność głowy Kościoła—Papieża,



Ponieważ tylko jako monarcha mógł Papież taką niezależność utrzymać, więc Państwo Kościelne było naturalnym kwiatem katolickiego ustroju społecznego. Z drugiej strony, jak syn dobry nie zniesie by ojciec jego, przez niego szanowany i kochany, był poniewierany przez obcych ludzi i kłaniał się im, ale wedle możności wyrobi mu położenie niezależne, choćby dla swego własnego honoru,—tak katolicy, jak długo dobrymi byli katolikami, nie mogli patrzeć na poniewierkę ich ojca powszechnego i poddaństwo jego choćby u najpotężniejszego władcy: więc znowu niepodległe monarsze stanowisko Papieża było koniecznym postulatem już nie interesu, ale miłości i szacunku katolickiego świata.

Tymczasem od XV wieku, a jeszcze bardziej od czasów powstania protestantyzmu, duch katolicki słabł coraz bardziej, jednocześnie poczucie i pojęcie katolickie coraz się więcej zaciemniało, a wskutek tego znaczenie Stolicy Apostolskiej malało i względy, wymagające jej niepodległości, coraz mniej były odczuwane i rozumiane.

Poganizm, wzmagając się na siłach, burzył jedną po drugiej chrześcijańskie instytucje, nie mógł więc obojętnie patrzeć na główną przeszkodę do zupełnego zwycięstwa swojego, t. j. na niepodległą głowę Kościoła Katolickiego.

Przez cały wiek XIX, a zwłaszcza w drugiej jego połowie, wszystkie usiłowania poganizmu były skierowane właśnie w tę stronę, ku zgnieceniu i wyrzuceniu Kościoła Katolickiego z oblicza ziemi. Dla dopięcia celu tego, zdeptanie głowy Kościoła było koniecznem, a jeden z najdzielniejszych ku temu

środków, poganizm widział w zniesieniu niezależności Papiejskiej, rachując na to, że Papież pozbawiony królestwa zejdzie na łaskę i niełaskę władzy świeckiej, którą będą trzymali w swoim ręku—oni, poganie. Oczywiście znając naturę ludzką, rachowali na to, że nędzą, uciskiem, prześladowaniem, jeżeli nie obietnicami i pieniędzmi złamią opór Papieża i będą z nim robili co zechcą, a w końcu zniosą tę godność, jako instytucję przestarzałą i z nowoczesnym postępem niezgodną. Dla dopięcia celu swego,—pozbawienia Papieża władzy świeckiej, poganie wszelkimi środkami pomagali zjednoczeniu się Włoch, a nawet sprawę tę wzięli całkowicie w swoje ręce. Król Sardyński, następnie król Włoski był pionkiem w ich grze, był chorągwią, około której mogli zebrać się wszyscy nieprzyjaciele Papiestwa. Tem właśnie, że w tak zwanej sprawie włoskiej szło nie tylko o domowe włoskie sprawy, nie tylko o zadosyćuczynienie słusznym żądaniom i potrzebom włosków, ale przede wszystkim o tę okoliczność, że kwestya zjednoczenia Włoch, była pretekstem do zniesienia władzy świeckiej Papieża, to zaś miało służyć do zgnębienia jego władzy i znaczenia duchownego, a przez to samo miało być początkiem końca katolicyzmu; tem właśnie tłumaczy się ogólne zainteresowanie się tą sprawą i sympatye dla niej, jakoby z racyi współczucia dla patriotyzmu włosków, ze strony milionów ludzi, których patriotyzm irlandczyków, polaków, bułgarów, boerów, rzeznie ormian, ucisk murzynów przez niemców ani trochę nie obchodził. Ci którzy najobojętniej patrzą na to, że bawarczy, tyrolczy i wirtemberczy są złączeni

w jedno państwo z Prusami, którzy nigdy nie pomyśleli, że ormianie i serbowie podzieleni między dwa mocarstwa, a polacy nawet między trzy—rwali sobie włosy z rozpaczny na myśl, że mieszkańcy Romanii mogą nie być wraz z Toskanją i Neapolem poddanymi Sabaudzkiej dynastyi. Tych wszystkich jednoczyła nienawiść do katolicyzmu i jeżeli nie zawsze świadomość celu, to zawsze przecucie jego, jakie daje instynkt nienawiści — któremu katolicy niestety zubożętniali, odurzeni, nieświadomi własnego interesu i honoru, nie przeciwstawili prawie żadnego oporu. Drugą okolicznością, o której wspominałem jest to, że całym ruchem pogańskim od dawna już kieruje masonerya; umiała ona skoncentrować w sobie wszystkie błędy, wszystkie nienawiści i wszystkie interesy przeciwne chrześcijanizmowi. Jak Kościół Katolicki jest międzynarodową instytucją, w której skryzalizował się chrześcijanizm, tak masonerya jest międzynarodowem skryzalizowaniem się poganimizmu. Głową tego ruchu jest wielki mistrz masoński, (od pewnego już czasu zawsze żyd; obecnie wprowadzie włoch, ale go wszyscy uważają za narzędzie byłego W. mistrza Natana). Oczywiście więc nie król włoski, ale on jest rzeczywistym i największym nieprzyjacielem Papieża; Król Włoski jest tylko substytutem, przypadkowym narzędziem w ręku W. Mistrza masońcy, który przez swoich podwładnych, będących jednocześnie najwyższymi dygnitarzami państwa, kieruje we Włoszech i w całym świecie akcją przeciwchrześcijańską. Jeżeli o powyższych dwóch okolicznościach pamiętać zechcemy, pojmemy z łatwością jak t. zw. kwestya Włosko-Rzymska była

źle zrozumianą dawniej i jak nie jest zrozumianą dzisiaj. Jak długo Włosi walczyli o pozbycie się cudzoziemskiego ucisku, słusznie należało się im nasze współczucie, bo sprawa ich była uczciwą i dobrą. Kiedy poczęli agitować za zjednoczeniem Włoch, katolicy mogli patrzeć na to jako na kwestyą obojętną, bo czy Włochy będą zjednoczone, czy podzielone, czy będzie nimi rządziła dynastia Sabaudzka, czy Burbońska, to z widzenia katolickiego i ogólnie ludzkiego jest kwestyą włoską domową. Zupełnie położenie rzeczy zmienia się, kiedy idzie o Państwo Kościelne, bo ponieważ jak rzekłem, jest ono nie dogmatem wprawdzie, ale naturalnym postulatem Katolickiego ducha, więc zniszczenie władzy świeckiej Papieża oznacza upadek i osłabienie katolicyzmu, a przewagę i tryumf poganizmu. Kwestya więc rzymska, to nie jest wewnętrzna sprawa włoska, ani dynastyczna, to kwestya kto będzie nad światem panował: krzyż Chrystusowy, czy kielnia masońska, chrześcijaństwo, czy poganizm. Obecnie ten ostatni tryumfuje bez żadnej wątpliwości; przeniknął on naukę, literaturę, politykę, urządzenia społeczne, etykę, sztukę, rozlał się jak morze wezbrane po świecie całym; więc w naturalnej zupełnie konsekwencyi, instytucje wykwitłe z pojęć chrześcijańskich musiały się cofnąć, jeżeli nie zniknąć zupełnie. Wezbrane fale poganizmu wniosły do Rzymu króla włoskiego, zalały dziedzictwo Piotra Św. i ograniczyły je do pałacu, kościoła i ogrodu watykańskiego. Mnóstwo ludzi, a w ich liczbie niemało katolików, cieszy się z tego i uważa taki obrót rzeczy za bardzo pożądany, nic nie wiedząc o tem, że tensam wylew poganizmu wyniósł na wierzch wiele rzeczy,

z których oprócz bezpośrednio interesowanych, nikt się zbytnio nie cieszy; więc wszechmoc rządową czyli państwową, wzajemną nienawiść stanową, klasową, plemienną, narodową, słowem powszechną, powszechny przytem zanik wszelkiej moralności, prawa, a nawet wstydu, wskutek tego panowanie siły fizycznej i przemocy, a wskutek tego znowu ogólny militarizm i niezmierne ciężary ekonomiczne, dalej rozstrój rodziny, rozpustę i znikczemnienie młodzieży, niewierność małżeńską i zupełne zachwianie małżeństwa, zrównanie kobiety z heterą i ulicznicą, socjalizm, rozboje i kradzieże, niepewność życia, pracy i jutra, spodlenie jednostek i mas, prześladowanie i gnębienie sumienia i narodowości i wiele innych rzeczy, które życie współczesne zamienia nam na istne piekło. Ludzie te ciężary czują, ale nie mogą pojąć ani dopatrzeć łączności między tymi fenomenami, a mistrzem masoneryi w pałacu Borghese w Rzymie. Tak, ale ileż to ludzi nie może także dopatrzeć i pojąć, czem dla nich jest obecność alkoholu w organizmie, rozmaitej szpetnej zarazy zbytecznych pokarmów, i t. p.

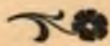
Jeżeli więc przy takim rozwieleniu poganimizmu, jest rzeczą naturalną zabranie Państwa Kościelnego, to taksamo wydaje mi się naturalnem, że ono w tej czy w innej formie znowu powróci, gdy świat powróci do chrześcijaństwa.

Jakkolwiek więc każdy katolik uświadomiony przywiązuje ogromną wagę do monarszej niepodległości Papieża, musimy wszyscy jednak przyznać, że nawet ta, tak ważna dla nas kwestya schodzi na plan drugi, wobec rzeczy jeszcze bardziej wszechświatowego i •wszechdziejowego znaczenia, jakim jest

walka i zwycięstwo jednego z dwóch napastników, t. j. chrześcijaństwa, albo poganizmu. Walka ta nie odrazu się skończy i nie w jednym tylko Rzymie lub Włoszech jej rozstrzygnięcie nastąpi,—rozstrzygać się ona będzie po całym świecie potrosze. Katolicy, trzeba im to przyznać, przez 400 lat zgórą bardzo pilnie naśladowali te sługi z przypowieści ewangelicznej, co to spali, gdy nieprzyjazny człowiek siał sobie kąkol w najlepsze; przebudzenie częściowe nastąpiło bardzo niedawno, przed 50 laty zaledwo i zrobiło już znaczne postępy. Idzie nam jednak niełatwo i nie prędko spodziewać się możemy zwycięstwa, bo rzeczą jest naturalną, że kto spał przez cztery wieki, a nawet więcej, nie rozumiał co się koło niego dzieje i pozwolił złu rozrość się do niesłychanej potęgi, ten nie może odrazu połapać się w położeniu, tembardziej nie może wszystkiego odrazu naprawić.

Obecnie dzięki wiekowemu nierozumieniu rzeczy, doszliśmy do tego, że jak przed 19 wiekami, chrześcijaństwo musi na nowo świat zdobywać. Robota ciężka i długa, powątpiewać jednak, ani rąk opuszczać nie powinniśmy, bo z nami Ten, który powiedział: nie bójcie się, Jam zwyciężył świat! Oby tylko społeczeństwo polskie dotąd po większej części śpiące po dawnemu w najlepsze, wierzące wszelkim fałszywym prorokom i nie widzące jak zguba od niego niedaleko, co prędszej ocknęło się i zrozumiało!

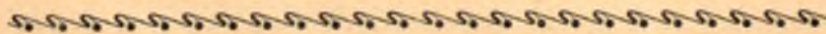
Biskup Karol Niedziałkowski.

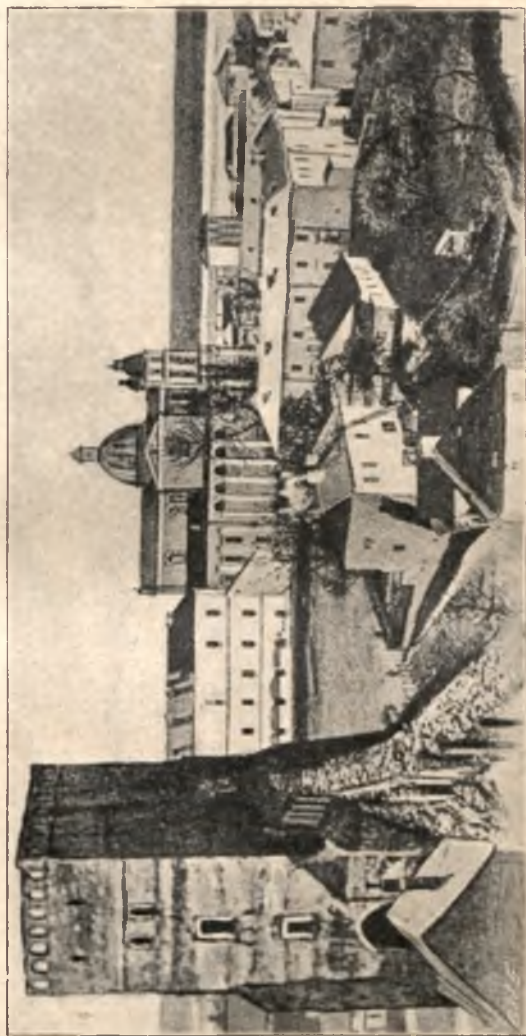




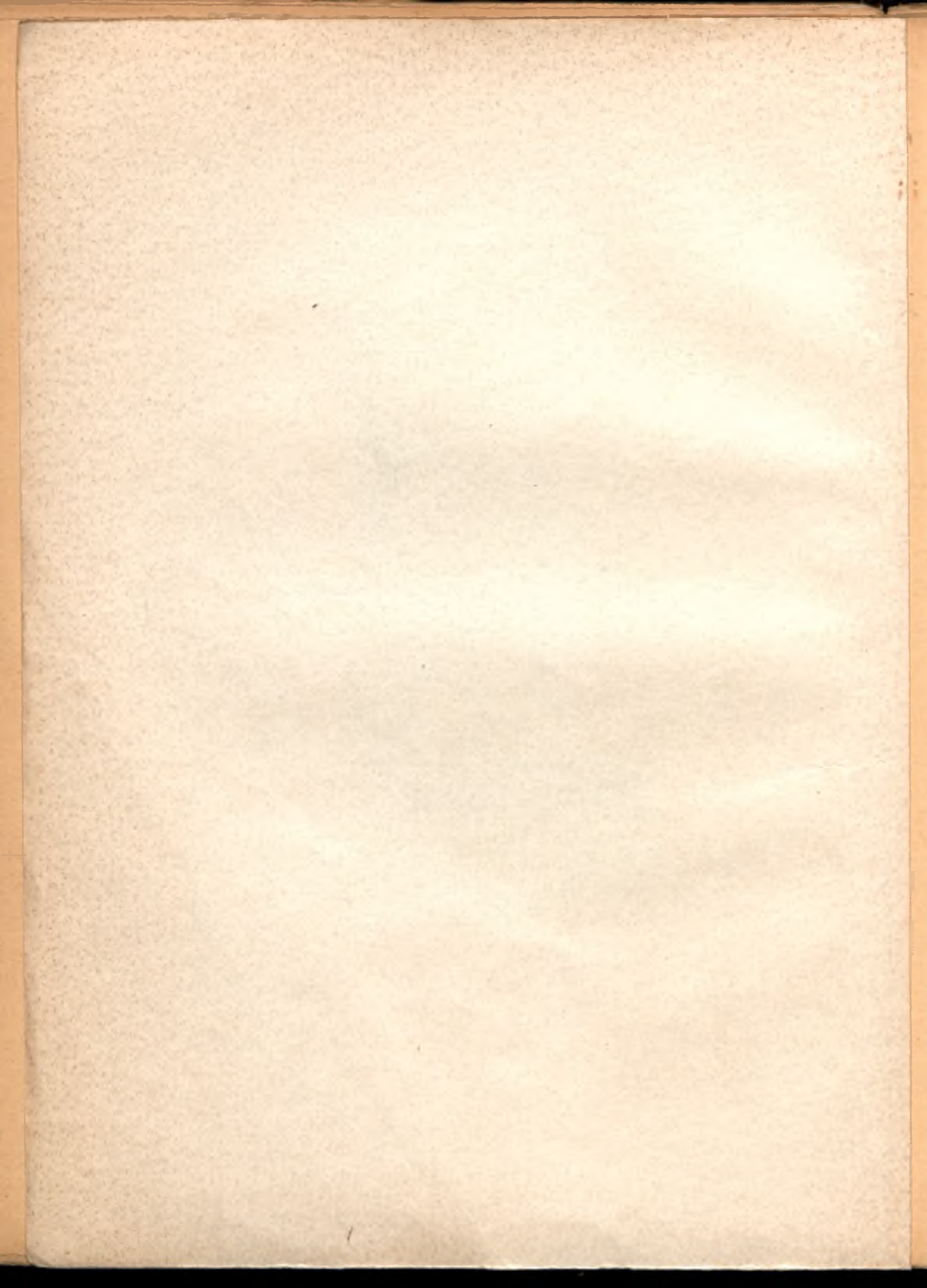
ŁUCK.

W zamierzchłej przeszłości, pyłem wieków pokrytej, na wyspie, oblanej Styru wodami z jednej, a Głuszcza z drugiej strony, — buduje plemię słowiańskie Łuczan osadę. Początkowo złożona z niewielkiej ilości sadyb, tynem okrażonych, osada ta, Łuckiem nazwana, czy to dzięki obronnej pozycji swojej, czy położeniu wśród bogatych, a żyznych okolic nad dogodną drogą wodną, — stale rośnie w ludność, siły i zamożność. Już wyspa nie mieści mieszkańców i lokuje ich na przeciwległych brzegach górzystych, łącząc ze sobą mostami, kanałami i groblami przez bagna okoliczne. Szle Styrem swych ludzi nad Prypeć i Dniepr, gdzie plemię pokrewne Polan, i zawiązuje stałe, a łatwe z nimi stosunki, przejmując od nich i przez nich się wiążąc z kulturą wschodnią. To też, gdy księżę Włodzimierz chrzest przyjmuje, początki wiary Chrystusowej około roku 1000 przedzierają się i nad Styr. Łuck cerkiew pierwszą buduje. Tworząc z okolicą swoją dość silną jednostkę poli-





LUCK. ULICA KATEDRALNA.



tyczną, hołdującą koronie książąt kijowskich, Łuck po śmierci Włodzimierza, jako ksiąstewko udzielne, stanowi wiano synów jego. Rodowa polityka podziałów, osłabiająca i wyniszczająca Ruś, grasuje więc i nad księstwem Łuckiem. Wydierany sobie nawzajem, Łuck przechodzi od jednego do drugiego potomka Włodzimierzowego, często napaściom i spustoszeniom podlega, a mimo to, jako stolica, stale rośnie w potęgę i znaczenie. W zapasach bratobójczych ruskich książąt przyjmują udział i królowie polscy, związani więzami rodzinnymi z domem Rurykiewiczów, dopomagając krewniakom swym w walce o władzę i pierwszeństwo. W roku 1073 Bolesław Śmiały otacza Łuck wojskami i po kilku miesiącach oblężenia i walk zażartych,—zdobywa go. Trzy razy w tych czasach Łuck, oblegany i niszczone, z gruzów stale i rychło powstaje, mieniając szaty drewniane na kamienne; każda nowa pożoga — to szczebel do wzrostu miasta. Walka wciąż trwa, a gdy przycicha — to siły gotuje do nowego wybuchu,—i różne koleje dziejowe przechodzi Wołyń cała, a z nią Łuck. To się łączy z Haliczem i tworzy potężną dzielnicę Włodzimiersko-Halicką, to znowu się łamie, dzieli, odrywa i upada, aż spojony dzielną ręką kniazia Daniela, znowu tworzy poważną całość. Lecz nie koniec biedom! Z za gór i rzek, ze Wschodu Dalekiego ciągnie horda Mongolska. Zwali się na Ruś rozczłonkowaną i w walce trwającą, zaleje ją, zniszczy opornych ogniem i mieczem... Wysłannicy Batyja sięgają aż na Wołyń i smutny widok po sobie zostawiają: trupy i zgliszcza. Łuck zniszczony! Nie widząc innego ratunku i sił nie mając do walki, Daniel haracz

składa i chan darowuje spokój chwilowy. Chwilowy, bo w kilka lat potem nowa fala mongolska zalewa Wołyń. Łuck po raz drugi zniszczono. Lecz z gruzów powstając, staje się ogniskiem spisków przeciw mongolskich: aż wre i kipi w nim, by jarzmo zrzucić. Sił jednak nie starcza, i z rozkazu chana w 1254 roku Łuck płonie, niszczonego ręką swych synów... I w gruzach stanęły i wał drewniany, i zamek, i cerkiew św. Dymitra, i katedra czeska św. Jana Ewangelisty, i monastery bazylikańskie męski i żeński. Cios to był straszny dla Łucka i chociaż znowu się buduje i dochodzi do niebywałej świetności, — kończy się jednak znaczenie jego, jako stolicy księstwa autonomicznego. Wołyń staje się żyzną a bogatą dzielnicą, kąskiem łakomym, o posiadanie i wcielenie którego, walczą państwa sąsiednie.

Na widownię występuje Litwa w początku wieku XIV. Po śmierci Daniela Wołyń ćwiartują i dzielą między siebie jego synowie, po nich podziały jeszcze się mnożą, a części maleją... Gdy wreszcie umiera jeden z potomków Daniela, Leon, książę na Łucku, zostawiając tylko córkę, poślubioną synowi Gedymina, Lubartowi, — ten ostatni zagarnia Łuck i utrwała stopniowo swą władzę, popierany i posiłkowany przez ojca, podwakroć podbijającego Wołyń. Zagarnięcie jednak Wołynia stawia go po śmierci Gedymina w kolizji z interesami Polski, roszczonej prawa do tej bogatej dzielnicy. To też szwagier Lubartów, — Kazimierz wkracza na Wołyń i w liczbie innych grodów zdobywa Włodzimierz i Łuck, lecz upokorzywszy dumnego i nieprzychylnego krewniaka, zostawia go panem na Łucku i ciągnie do domu. Gdy Kazimierz wrócił do Polski,

książęta i bojarowie wołyńscy chwytają za oręż i na czele ich staje Lubart.

Nowa polska wyprawa i nowe niepowodzenie Lubarta, zmuszonego chwilowo uciekać zupełnie z Wołynia. Przez dłuższy czas spokój panuje, aż w 1366 roku Kazimierz ponownie rusza na Wołyń, by ostatecznie wpływy swoje utrwalić, a Lubarta znów wicherzącego, pognębić. Wyprawa kończy się pomyślnie, lecz na mocy układów Lubart pozostaje w posiadaniu Łucka z powiatem. Duch niespokojny—tem się nie kontentuje: stopniowo rozszerza swe posiadłości, zdobywa Włodzimierz, Krzemieniec, Przemyśl... Umiera w głębokiej starości w Łucku, grodzie swym ulubionym i wiele mu zawdzięczającym. I rzeczywiście, pomimo tylu klęsk, zniszczenia, pożogi, skutków stałego burzenia się Lubarta, Łuck buduje się i rośnie. Zakłada tu Lubart podwaliny zamku murowanego, wykończonego ostatecznie przez Witolda; w obrębie tegoż wznosi cerkiew katedralną, również murowaną, sownie uposażając ją dobrami; podtrzymuje i opieką otacza przemysł i handel. Do zenitu jednak swej sławy i potęgi dochodzi Łuck dopiero przy Witoldzie. On kończy zamek, imponujący swymi murami, wznosi z kamienia gmachy publiczne, buduje cerkwie, kościoły, bóżnice żydowskie i karaimskie, ściąga ludność przywilejami, krzewi przemysł i handel, broniąc najrzutniejszy element (żydów, tatarów i karaimów) od krzywd; przenosi katedrę katolicką z Włodzimierza; nadaje ziemię Dominikanom; stawia łaźnie, buduje mosty, drogi ubija, kanały kopie, wszelkimi sposobami stara się podnieść Łuck i stworzyć zeń prawdziwą stolicę.

Cel osiągnięty — Łuck, na wyżynie sławy będący, gościnnie otwiera podwoje i wita przepychem nadzwyczajnym zjeżdżających się monarchów. W r. 1429 na zaprosiny Witolda przybywają do Łucka: Jagiełło, cesarz Zygmunt, Bazyli, wielki Książę moskiewski, legat papieski, posłowie mistrza Krzyżackiego, mistrz inflancki, gospodar wołoski, król Eryk duński, posłowie Jana Paleologa, chanowie hord: dońskiej, wołżańskiej i perekopskiej, a z nimi ich dwory wspaniałe i poczty z kwiatu rycerstwa i panów...

Po Witoldzie rządy obejmuje Świdrygiełło, który wkrótce zaczyna spory i knowania wiedzie przeciwko Polsce, co wywołuje nową wyprawę na Wołyń. Ustępując przed królem, Świdrygiełło pali miasto i zostawia tylko załogę w twierdzy. Król niechętnie twierdzę oblega, stale się waha, układy prowadzi i daje możność Świdrygiełłowi wygrać na czasie i sojuszników znaleźć. Ostatecznie układ staje, że Świdrygiełło zatrzyma swe posiadłości, lecz wicherzyć przestanie, i król wojska cofa. Lecz czego miecz nie zrobił—doskonała dyplomacya: stale napierana, Litwa przystaje na wygnanie Świdrygiełły i hołd składa Zygmuntowi Kiejstutowiczowi ¹⁾, do którego przechodzą i rządy na całym Wołyniu. W tych czasach dwoma przywilejami król Jagiełło Łuck obdarza: raz — gwarantuje swobodę Kościoła wschodniego; drugi—miastu nadaje prawo magdeburskie, cechy wprowadza, zwalnia od kwaterunków wojskowych. Świdrygiełło Łuck mało zawdzięcza: wzmacnia on zamek, basztę buduje,

¹⁾ Brat Witolda.

lecz dla podniesienia miasta nic nie czyni, a ono się chylić bardzo pocyna ku upadkowi. Stałe wojny i zapasy, walka o posiadanie między Polską a Litwą, częsta zmiana panów, ręka żołdactwa, najazdy tatarskie, klęski i pożary—ostatecznie podrywają siły życiowe Łucka: marnieje on i zanika, mimo gorącej opieki przyszytych swych władców. Aleksander Jagiellończyk miasto odbudowuje, ład i porządek wprowadza, handel reguluje, mieszczan do obrony grodu zobowiązuje. Lecz nowa nawałnica tatarska niszczy pięknie zaczęte dzieło. Gdy znów się Łuck z gruzów z mozołem podnosi—w ogniu ginie w 1540 r.—Pożar nawet zamku nie oszczędził i dotkliwie go uszkodził. Zygmunt August z pomocą przychodzi i stałą opieką Łuck otacza. Zwalnia mieszczan od płacenia myt i ceł handlowych, popiera handel i przemysł, mosty i drogi naprawia, rzekę Styr spławnią ogłasza. W wieku XVI spada nowa i straszna klęska: mór i głód. Widać w księgach przeznaczeń było już zapisano, że się Łuck nie podźwignie. W tych czasach jednak miasto zajmowało jeszcze znaczny obszar: gdy centrum na wyspie, odnogi sięgają za Głuszec—na Wólkę, Jarowicę, Żydyczyn i nawet Kiwerce; za Styr — na Gnidawę, Kraśne, Omelanik. Ludność, złożona z różnych narodowości, przedstawiała też cyfrę pokaźną, mieszkali tu w liczbie przeważnej rusini, pozatem polacy, litwini, żydzi, karaimi, ormianie, tatarzy. Wielka ilość domów szlacheckich na wyspie; murowane gmachy publiczne, klasztory brygidek, dominikanów, karmelitów, bonifratrów, trynitarzy, bernardynów, dwa kościoły katolickie, jeden ormiański; dziewiętnaście cerkwi; synagogi żydowskie, bóżnice karaimskie

i tatarskie, a przedewszystkiem zamek wspaniały o trzech wieżach — wszystko to tworzyło widok imponujący. Lecz są to ostatnie chwile Łucka przed jego skarleniem — jakby z wyżyn zszedł, a pogrążył się w błota, z trzech stron go otaczające. W jednym z aktów z tych czasów czytamy te słowa: „Niegdyś stolica książąt ruskich, przez Rusinów, katolików znacznie osiadłych, tudzież ormian, tatarów, wołochów, karaimów i żydów zaludniona, kościołami, cerkwiemi, fortecą ozdobiona, wałami kilkorakiemi za miastem, basztami czterema opasana, w całym województwie było miastem najwspanialszem. Mieszczanie przy nadanych sobie prawach, ustanawiających Łuck w obrębach praw Lwowu, Krakowu, Lublinowi, Wilnu służących, krzewili się w ludność, prowadzili handle, trzymali szynki, sposobnymi byli na wojnę ciągnąć, zakupywali swoim kosztem armaty, kule, prochy, oraz orężę potrzebne do wojny dostarczali i bezpieczeńność miasta sami utrzymywali... *Tadeusz Stecki: Łuck.*

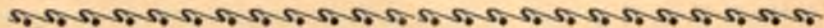
W początkach XVII w. przejeżdża przez Łuck król Władysław, ciągnący z wojskami ku Moskwie. Miasto lustruje, ogląda zamek, nowe przywileje licznym cechom nadaje, drukarnię buduje. Wiek ten jednak — jest wiekiem klęski dla całego Wołynia i Łucka. Głód straszliwy i powietrze morowe grasują i gnębią ludzi; Chmielnicki z kozactwem i tatarami ogniem i mieczem niszczy gród, a mieszkańców zabija, lub w niewolę sprzedaje; stałe rozterki domowe, sąsiedzkie najazdy, nienawiści narodowe, a szczególnie zaciekle walka religijna, podsycana przez formujące się fanatyczne a nienawiści pełne bractwo. Takie bractwo w Łucku zakłada mnich Herasym Mikulicz,

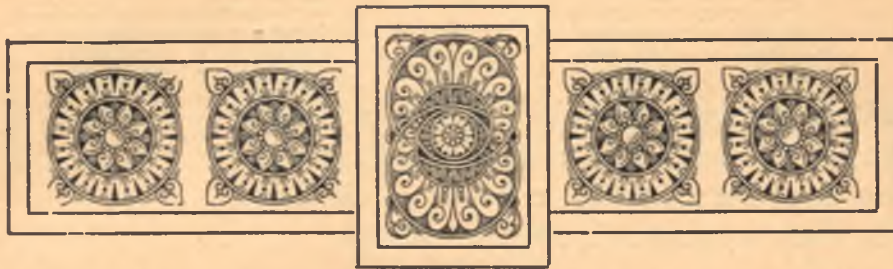
burzy lud, nawołuje do gwałtów. Sobór Łucki, celem którego było doprowadzenie do porozumienia między duchowieństwem obojga wyznań, dzięki zabiegom tegoż bractwa, celu nie osiąga. W XVIII w. Łuck, jako stolica województwa, ogłasza stawienie oporu Karolowi XII, za co ten niszczy i pali wsie i miasteczka Wołyńskie. Po śmierci Augusta II województwo wołyńskie zawiązuje konfederację w Łucku, w celu popierania kandydatury Stanisława Leszczyńskiego—i znowu niepowodzenie! Ostateczny upadek Łucka następuje jednak dopiero po drugim zaborze w r. 1793, gdy ze stolicy województwa — staje się lichą miejsciną powiatową... W czasach poprzednich ze stopniową utratą znaczenia politycznego, karłał i podłał Łuck na wewnątrz. Kraj ubożeje, ludność się zmniejsza, świątynie Pańskie, klasztory, gmachy wspanialsze rujnują się, miasto się nie odbudowuje, handel zanika, przemysł w upadku, a ze wszystkich nor wylażą żydzi, którzy liczbą swoją i przebiegłością pogńębiają inne narodowości, i wszystko zagarniają w swe ręce...

Z cesarzy rosyjskich przejeżdżali przez Łuck: Piotr Wielki, Aleksander I, Mikołaj I. po trzykroć, i Aleksander III po dwakroć. Tu wojska kwaterowały, tędy przemarsze liczniejsze się odbywały i były częste rewje wojskowe... Cały Wołyń pod berłem rosyjskiem zajmuje 63,037 kw. wiorstz ludnością (w r. 904) 3,440,800 ludzi, co stanowi na wiorstę kw. 54.6 osoby. Jest to przeważnie żyzna, bogata kraina o łagodnym klimacie (śr. temp. 7,60). Na powiat Łucki z tego obszaru ziemi przypada 5652 kw. wiorsty, ludności 293,200 t. j. na kw. wiorstę 44.7 osoby. Same miasto Łuck zajmuje

około 80—90 dziesięcin i niby potrochu się rozszerza i podnosi. Ludność jego dochodzi do 19,000. Są tutaj teraz: kolej żelazna, szosa, olbrzymie gmachy wojskowe, cerkiew soborna z kilku pomniejszych, kircha, kościół katedralny, bóżnica żydowska, młyny parowe i wodne, park spacerowy, stare mury zamkowe, mosty przez Styr na Krasne i Gnidawę, grobla przez błota... Jest tu i sąd okręgowy z liczną palestrą, i bank, towarzystwo rolnicze z biurami i sklepami, klubów kilka, towarzystwo wzajemnego kredytu, fabryki cegieł i chodników, zakład plotkarski na większą skalę, gimnazja żeńskie i męskie, Oświata, i Dobroczynność, i wielu aż nadto sztuki miłośników, i opinia publiczna z referentem gazeciarskim, magistrem „od moralności.“ Żyje więc Łuck, działa, myśl w nim kwitnie, zapął do pracy społecznej i nawet poświęcenia—a owoc tego przyszłe pokolenia oglądać i oceniać będą... Hosanna!!!

W.





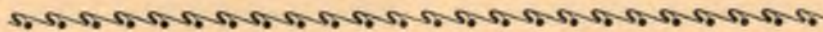
Cave Canem!



O, biedne nasze biedne młode pokolenie,
Bo życie jego smutne przyszłość mgłą spowita!..
Gdzież polot młodej myśli? Gdzież twórcze natchnienia?
Gdzie Wiara? Gdzie Miłość?... Gdzież Nadzieja świta?

Nadzieja, Miłość, Wiara!... O biada-ż nam biada,
Że święte Ojców cnoty w synach tak zmałyły:
Nihilizm serca młode jako rdza przejada—
Ideały w młodości w nicość się rozwiały!

Ten pono teraz żyje, którego jest bronią
I bóstwem siła gruba i wszystko z niej wzięte;
Ten dzielny jeno teraz, który własną dłonią
Potargał w sobie wszystko co szczytne i święte..



Młodzieży nasza polska!... Nie tędy twa droga! —
Czcigodną byłeś zawsze, wzorem poświęcenia,
Bo żyłaś dla Ojczyzny, z Bogiem i dla Boga,
Że ślady są wspaniałe twojego istnienia.

Lecz przyszła tu zaraza. — Spustoszenia szerzy.
I długo, ach, jak długo między nami gości!
Któż krzepi się Nadzieją? Kto kocha? Kto wierzy?
Któż teraz nam zaśpiewa „Odeę do młodości?”

Młodzieży! wznies się duchem, a wypogódź czoło!
Pod krzyżem uchył głowę i uderz kolanem!
Do czynu!... Na szczyt chwały!... Ojczyzna cię woła!...
A strzeż się, strzeż zarazy!... Cave, cave canem!

Przemysław K.





Nawrócony.

(Obrazek na tle zdarzeń rzeczywistych osnuty.)



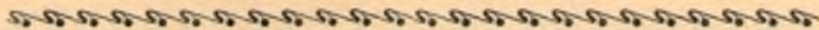
— Janie, hej Janie!

— Słucham, co jaśnie pan rozkaże?

Śniła mi się znów a piękniejsza tym razem niż kiedykolwiek. Miała wieniec cierniowy na skroni, brzęczała kajdanami lecz od serca jej tyle szło gorących promieni, a czoło takim jaśniało światłem, że aż oczy przymrużyć musiałem. Uśmiechała się do mnie i wabiła jak zwykle. Odchodząc przemieniła się raptem i taka podobna, taka bardzo podobna stała się do mojej ukochanej nieboszczki matki.

— Pewnie powinszować przychodziły, boć to dziś sześćdziesiątka stuknęła panu.

— A prawda, stary druhu, prawda! Sześćdziesiątka, na wieki zapomniałem, że to dziś, a one nie zapomniały, przyszły. Jeszcze nigdy tak obie w jednej postaci mi się nie śniły. — Matka nawet coś mówiła do mnie, ale nie mogę przypomnieć sobie co. Wiem tylko, że trzymała obrazek

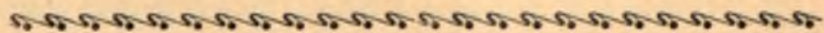


w dłoni, a odchodząc przeżegnała się nim i dwa słowa szepnęła. Obrazek utkwił mi w pamięci... przypominam sobie i słowa: rzekła najwyraźniej odchodząc: „proś teraz.“ Tak... dziś jeszcze spróbuję. Lecz co to za obrazek trzymała?... podaj no szkatułkę! Stary sługa wytarł głośno nos chustką czerwoną i z rozpromienioną już twarzą podał swemu panu żądany przedmiot. Ten zdjął kluczyk, który miał na piersiach, otworzył ostrożnie z jakimś dziwnym skupieniem i jakby święte przeglądając relikwie, zaczął przebierać papiery. Najpierw rozwinął mały zwitek. Było tam pasmo włosów czarnych, jak krucze. Ucałował je i ostrożnie zawinął znowu; później wyjął fotografię, — przyglądał się jej jakiś czas w milczeniu i rzekł: „zupełnie takasama jak śniła mi się dziś, patrz.“

Fotografia wyobrażała cudnie piękną młodą osobę, z małym chłopczykiem u kolan.

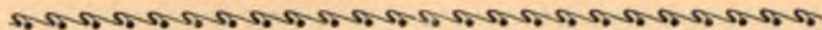
Stary sługa pokiwał smutnie głową i westchnął, a pan Solski rzekł: Ach jak dobrze mi było Matko, u Twych kolan! — czemuż tak wcześnie odeszła?! Twego Stasia poszarpały strasznie burze życiowe!

Patrz stary jaki ona wierszyk napisała wtedy do mnie:
„Dziecię, tyś moją zorzą! przez Ciebie zbudzona
Pieśń nieznanej miłości płynie z mego łona,
By ci złożyć swych uczuć zadatek.
Jak ziemia blaskiem słońca kwitnie ożywiona,
Tak me serce, ma dusza do Boga wzniesiona,
Gdy znajduje się w gronie swych dzieciak.
O! bo ta drobna postać, te urocze oczy,



Których żaden cień zbrodni plugawej nie mroczy,
Zwierciadelko twej duszy niewinnej;
Twe ciało uwieńczone aureolą złotą,
Usteczka rozchylone ze słodką pieśczętą,
Pełne miłości dziecinnej!
Usteczka Twe, gdy szepczą słodką nazwę „mama,“
To serce me uderza takich uczuć gamą,
Że im w życiu nic zrównać nie zdoła;
I szczęściem przepelnione, żywiej serce bije,
A dusza podniesiona z źródła wiary pije
Błogą przyszłość dla swego anioła.
W noc ciemną, gdy schylona nad kolebką twoją,
Z miłością macierzyńską całą mocą swoją
Pragnę twą przyszłość odsłonić,
I odważna jak lwica przed burzami świata,
W których zazdrość, obłuda, nienawiść się splata,
Chcę własną swą piersią obronić.
Lub czasem kiedy zawrę strudzone powieki
I usłyszę w oddali jęk wichru daleki,
Co mocne drzewa nagina,
Ja padam na kolana i wołam do Pana:
Ty, od którego siła moralna nam dana,
Spraw niech żyje Wiarą moja dziecina.“

Ach matko! cobym dał za to, gdybym mógł mieć tę wia-
rę—westchnął staruszek—gdybym mógł mieć nadzieję, że znów
ujrzę cię kędyś za światami...



Otarł łzę i znów szperał w papierach. Obrazków najrozmaitszych po nieboszce była cała paczka, ale takiego jak mu się śnił nie było.

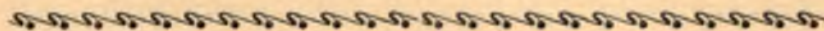
— Ach wiem! — zawołał — przypominam sobie z takim obrazkiem pochowano moją Matulę.

— At, niechże jaśnie pan zostawi na dziś te smutne wspomnienia. Taki dzień śliczny, pójdziemy lepiej do ogrodu, pod naszym ulubionym dębem przygotowałem herbatę i niespodzianka będzie!... Niech tylko jaśnie pan wstaje prędzej. Staruszek czas jakiś patrzył na swe relikwie, kiwając smutnie głową, aż wreszcie ułożywszy wszystko starannie, kazał odnieść na miejsce, a sobie podać ubranie.

* * *

Pan Stanisław Solski od lat kilkunastu cierpiał na straszną nostalgię. Dusza jego co chwila ulatywała na łany ojczyste, lubowała się widokami gór tatrzańskich, to poiła aromatem pól i łąk kwiecistych, to wsłuchiwała się w szmery strumieni górskich i szumy leśne. Czasem śniła mu się ta ukochana ojczyzna w postaci cudnej dziewczicy skutej w kajdany i błagała o pomoc. Wtedy płakał przez sen jak dziecko, a obudziwszy się wołał starego sługę, który podzielał tęsknotę swego pana i grał piosnki narodowe..

Stary Jan był to prostak, lecz filozof w duszy; liczne podróże i ciągłe rozmowy z p. Solskim, który nie jak sługę, lecz jak przyjaciela go traktował, obudziły w nim myśl głębszą i jasny



a zdrowy pogląd na świat i ludzi. W jednym tylko nie zgadzał się ze swym panem, a mianowicie: w kwestji religijnej. Sceptycyzm p. Solskiego zamiast zachwiać, jeszcze bardziej utwierdzał go w wierze, w obronie której myśl jego bezustannie pracowała. Przytem od młodu był grajkiem z powołania. Wrażliwe jego ucho chwyciło w lot wszystko, co przemawiało do serca, a przemawiało najsilniej to, co miało jakikolwiek związek z „matką ziemią.“

Solski lubił tę grę prostą, płynącą z serca, i czego nie mógł grajek oddać dokładnie w muzyce, to czuł słuchacz dośpiewywał w swej duszy. I dziś muzyka i wspomnienia stanowiły główne tło życia tych dwóch wygnańców. Zmuszeni opuścić granice Polski, gnani straszną tęsknotą, objechali wszystkie po kolei najcudniejsze zakątki ziemi i nie znalazłszy nigdzie ukojenia, osiedli we Włoszech. Solski wyciął pomarańcze i cyprysy strojne, a natomiast posadził tylko swojskie drzewa i osiadł na stałe w swej „Polonii.“

Oto właśnie usiadł pod dębem, gdzie Jan przyszykował do herbaty i rzekł:

— Jakąż to niespodziankę mi obiecałeś?

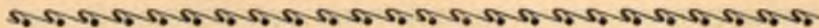
— To ja Jaśnie panu na dzisiaj chcę zagrać swoją kompozycję, ułożyłem to z tych gwarów i śpiewów, które tak drogie są naszemu sercu.

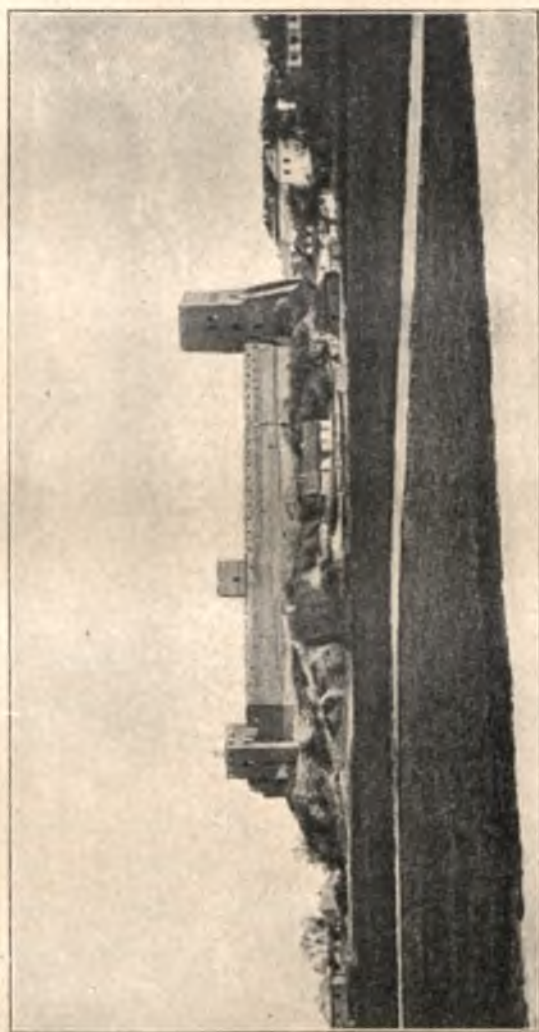
Przy tych słowach wyjął skrzypkę, spojrzął nań okiem troskliwie kochającej matki, ostrożnie wsparł na ramieniu i wnet z pod smyczka artysty popłynęły jakieś dziwne, niezrozumiałe szepty jakby szelest liści, poruszanych cichym wietrzykiem,

jakby szmer wody płynącej po kamykach hen, hen, kędyś daleko! Staruszek oparł głowę na rękę i skupił uwagę, ucho jego łowi z chciwością każde drgnienie struny, bo dziwnie pieścza duszę i jakieś tęskne choć błogie obudzają w niej uczucia. Toć to tak jego ukochany polski las szumi! a tak skowronek nad rolnikiem śpiewa, tak zupełnie bocian klekoce a tak oto... woda po młyńskim kole spada... Jakby zdaleka od stawu dolatuje ciche żab rechotanie, to znów chór błotnego ptactwa... aż wszystko zcicha, milknie pod czarem miłosnej piosnki słowika. Staruszkowi chce się tak słuchać i śnić bez końca, lecz ręka grajka opadła wraz ze smyczkiem i tylko struny jakieś ostre i niezrozumiałe wydały dźwięki... To gwary letnie łąk i pól naszych! tak kosa z kosą gawędzi, sierp o sierp dzwoni. I z pod smyczka artysty coraz jaśniej coraz zrozumialej płynie tak dobrze znana mu melodia piosnki okrężnej.

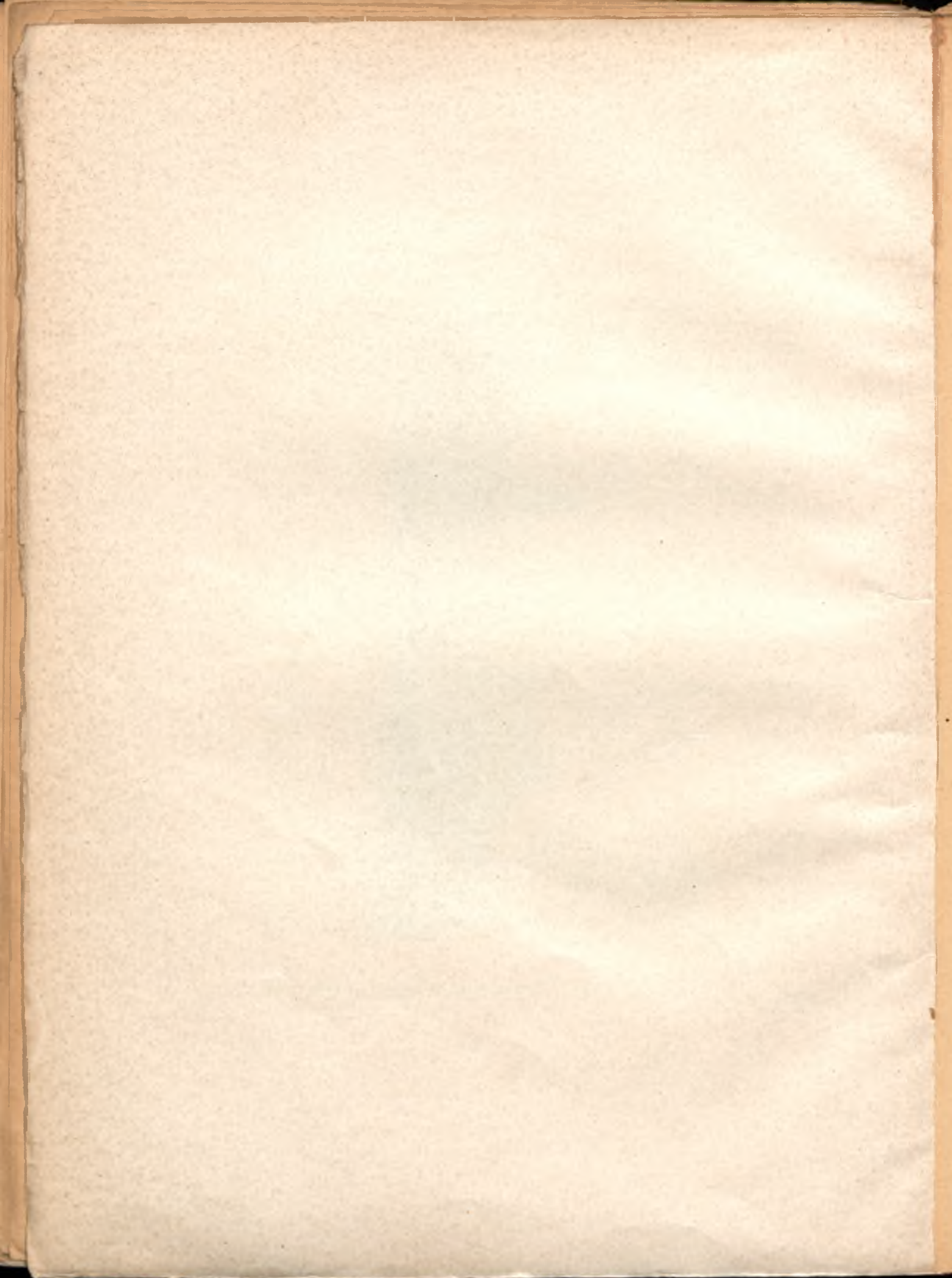
Solski zwiesił głowę, przymknął powieki, zda się widzi oczami duszy siebie małym złotowłosym chłopczykiem u kolan matki, a oto żęncy wracają z pola; wieniec żytni niesie na głowie strojny i wysmukły młodzian, Jan Dołęga dzisiejszy jego sługa i przyjaciel wierny, a obok w złocistym pszennym wianuszku postępuje śliczna Jania, narzeczona jego. Stanęli... śpiewają do pani, pana i panicza.

Ech, jakże dobrze, jak wesoło było mu wtedy, jak serduszko jego dziecięce biło od przyływu ogromnej radości. I teraz jakoś dziwnie mu było, dziwnie słodko... Lecz raptem grajek tony zmienia, przyspiesza tempo, smyczek z błyskawiczną szybkością miga w rękę artysty i grzmi oberek dziarski, aż dusza





ZAMEK LUBARTA.



się raduje, zda się widać jak młódź polska, niepomna na pracę i znużenie miga w zawrotnych kołach. I grajek nawet zapomniał w tej chwili o swej samotności, wygnaniu, starości nawet; on znów młody, znów silny obok swej Jani, kochający i kochany. W tem od wielkiego naprężenia pęka struna, wydaje jakiś dźwięk przeraźliwie żałosny i spada bezsilnie... a pan i sługa zwiesili głowy na piersiach i obaj w smutnej utonęli zadumie.

*
*
*

W miesiąc potem znów na temsamem miejscu siedział Solski, czytając chciwie jakiś papier, a obok stał stary Jan i niecierpliwie przestępując z nogi na nogę przyglądał się z obawą wyrazowi twarzy swego pana. Oczy czytającego zajaśniały niezwykłym blaskiem, lecz po chwili zmarszczka zawodu sfałdowała mu czoło; pomilczał jeszcze chwil kilka wreszcie rzekł:

— Do Królestwa nie można, ale zresztą wszędzie gdzie się podoba; no stary, pakuj się — pojedziemy: wszak i Litwa i Wołyń i Podole i Ukraina, to choć nie serce, ale członki naszej ukochanej Polski.

Po tych słowach, twarze obu starców rozjaśniły się, jakby w nich nowe życie wstąpiło.

Podaj-no stary mapę, oddamy się na los szczęścia, jak robiliśmy zawsze w naszych wędrówkach po świecie. Kędy trafię palcem tam się tymczasem zatrzymamy. Wszak to nam wszystko jedno teraz?

Sługa rozłożył ogromną mapę, a pan Stanisław zamrużył oczy i uderzył palcem.

— Łuck!

Co to za Łuck — poczekaj no... coś mi się majaczy... to zdaje się dawna stolica Wołynia. A co widzisz miałem rację: Czytał Solski: „Łuck nad Styrem i Głuszcem, gród bardzo dawny, niegdyś Stolica Wołynia, dziś miasto powiatowe, liczące około 19 tysięcy mieszkańców, w dwu trzecich częściach, staroza-konnych.

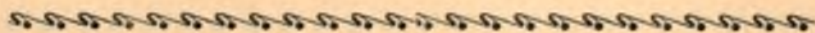
Z zabytków budownictwa pozostały do dziś wspaniałe zwaliska zamku Lubarta i kościół po-jezuicki.

W wielkim ołtarzu znajduje się obraz Najświętszej Panny Marji słynący cudami.“

— A zatem zdecydowano stary druha — pojedziemy do Łucka — rzekł po chwili Solski.

* * *

W parę tygodni potem pan i sługa przechadzali się, rozglądając ciekawie po brudnych i cuchnących ulicach Łucka; później przeszli most i znaleźli się na przedmieściu Krasne, którego białe chaty i dworki tonęły zda się w zieleni łąk i sadów. Był prześliczny ranek majowy, pachniały bzy i jaśminy, śpiewały ptaszęta, cała przyroda śmiała się i mówiła mnóstwem barw, aromatów i blasków; Solski przystawał co chwila, wdychał całą piersią powietrze, wydawał krótkie urywane okrzyki zachwyty, to mrucał pod nosem ulubioną nutkę krakowiaka.



Potem zwiedzili wspaniałe ruiny zamku, wdrapali się na wieżę skąd podziwiali śliczne okolice Łucka. Solski był w wyśmienitym humorze. Nawet brudne i poszarpane chałaty żydowskie nie raziły estetycznego smaku jego, wszystko mu się tu podobało, wszystko miało dlań nieopisany urok swojskości. Tak wałęsali się dzień cały, a gdy wracając przechodzili koło kościoła doleciał ich z wewnątrz śpiew nabożny „Serdeczna Matko.“

— Czy to dziś święto jakie?—zapytał Solski.

— Nie — to pewnie naszym starym zwyczajem majowe nabożeństwo odprawia się, ku czci Królowej Nieba.

— Pan Stanisław nic nie odpowiedział, tylko zawrócił raptem i wszedł do kościoła, a za nim z ogromną radością w duszy postępował stary Jan.

Obraz cudowny Najświętszej Panny jaśniał od świateł, a lud z kapłanem na czele śpiewał w nabożnym skupieniu. Matka Boża tak słodko, tak miłosiernie patrzyła na nich z obrazu i zdawała się mówić: „Wszystko, zaczem tęskni i płacze biedne serce wasze uproszę wam u Mego Syna.“

Pan Stanisław stał wpatrzony w obraz, a w duszy coś mu się budziło, coś jęczało bezbrzeżnym bólem i tęsknotą, to drgało nieopisanem uczuciem radości, wesela i ukojenia.

Prześpiewano „Pod Twoją Obronę“ i „Wszystkie nasze dzienne sprawy“ lud wychodził tłumnie z kościoła, zakrystyan dzwonił kluczami, a Solski wciąż stał wpatrzony w obraz, nie widział nikogo, nie pamiętał gdzie się znajduje, czuł tylko, że mu tu dobrze, tak dobrze jak nigdy w życiu.

— Chodźmy już, Jaśnie panie, bo nas tu zamkną — rzekł Jan trącając go zlekka w ramię.

Solski oprzytomniał, westchnął głęboko i wyszedł z kościoła.

To taki sam obraz jakim błogosławiła mnie we śnie matka i z jakim ją pochowano! — rzekł po chwili, zwracając się do Jana; — wytłumacz-że mi stary, co to może znaczyć taki dziwny zbieg okoliczności?

— To znaczy Jaśnie Panie — odrzekł bardzo wzruszony sługa, że Pani modli się tam za swego Stasia i że to jej modlitwa sprawiła, żeśmy wrócili do kraju i pewnie Ona jeszcze i to wyprosi u Matki Najświętszej, że Pan nawróci się do wiary przodków swoich, a tego przeklętego „Atoma“ wybije sobie z głowy.

— Mój stary, czego ty chcesz odemnie! — odparł Solski, pierwszy raz bez gniewu i jakby tłumacząc się. Czyż ja nie wierząc jestem gorszy od tych waszych wierzących świętoszków? Czy mnie moja filozofia nie uczy tego samego, co was prostaczków religia?

— Może, ale tego błogiego spokoju, co umiła życie ona wam nie daje.

— Cóż ja winienem temu, że nie mogę wierzyć w te wasze bajki, których nie umiem sobie wytłumaczyć rozumem — odparł Solski.

— A czy Jaśnie pan to rozumie dobrze i mógłby mi ciemnemu wytłumaczyć, w jaki sposób ten „Atom“ ten pyłek, o którym mi tyle razy Jaśnie Pan wspominał, potrafił stworzyć

te wszystkie piękności natury, któremi codziennie tak się Jaśnie Pan zachwyca?

— No, tego ja ci wytłómaczyć nie mogę, bo to jeszcze zagadka i dla mędrców nawet nie wyjaśniona.

— No, kiedy i to, i to—nie wyjaśnione, to ja wolę wierzyć w Boga, o którego istnieniu mówi mi nie tylko to, co dokoła siebie widzę, ale i to coś, co tam w głębi serca do Niego się modli, mówiąc mi o jego dobroci i miłosierdziu.

— Toż to właśnie stary, co mnie najwięcej boli, że nie mogę zrozumieć w czym tkwi Jego dobroć? Cośmy Mu zawinili, ty stary poczciwy przyjacielu, że cię pozbawił ukochanej żony, syna i samotnym zostawił na świecie, lub ja dziecię niewinne, że mi zabrał matkę i ojca i tak wcześniej pozbawił ich pieczy i opieki? Sam wiesz com się nadręczył, naszarpał i nacierpiął zostawiony tylko samemu sobie, nie mając nikogo coby mną pokierował, coby w ciężkich chwilach życia dobrą wsparł radą!

— Ech Jaśnie panie, stary ja, i ciemny człowiek, jak Jaśnie pan sam wie, niewiele mię uczono i tylko to wiem, com w pocziwych książkach przeczytał i sam o sobie przemyślał: ale tak supunuję, że jeżeliby Jaśnie pan nie czytał tylko tych swoich filozofów bezbożników i tych odpuść Panie grzechu, Antychrystów jakichś Renanów, Nisztchów i... co to aż język u pocziwego człowieka nie powraca się na wspomnienie ich paskudnych nazwisk, ale wziął czasem do ręki jakie pocziwe chrześcijańskie dzieło, to możeby inaczej na te rzeczy patrzył i był o wiele szczęśliwszy.

— Chcesz stary, bym się ludził i okpiwał sam siebie?

— Nie, ja tylko proszę Boga by Jaśnie pan przejrzał — odparł Jan wzdychając. — Widzi Jaśnie pan — dodał po chwili — ja tak sobie w swojej starej głowie kalkuluję, że najwięcej buntów i narzekań na Boga pochodzi stąd, że mało kto zna i chce znać wszystkie zasady naszej świętej religii. Wy zaś, mądrzy panowie, przekrawujecie ją jakoby stary kaftan na różne nowomodne fasony i dziwicie się, że od tego odcinania i sztukowania zrobiło się z niej coś dziwnego, jakby surdut przystrojony jedwabnemi klapami i błyszczącymi guzikami, ale bez kawałka poły, kołnierza i rękawów.

— Ja nie wiem dlaczego Panu Bogu podobało się zabrać mi żonę i syna, a Jaśnie Panu rodziców, ale wierzę w to, jak dziecko ojcu, iż tam wysoko znów mi ich odda i ja zrozumieć, że to było dla mego dobra.

— A jakież może być w tem dobro, gdy tylu cierpień stało się powodem?

— Ot i drugą połę odciął Jaśnie pan od surduta — odparł gniewnie już stary sługa — wszakże powiedziano — że przez krzyż droga do nieba.

— Mój stary, cóżby to Panu Bogu szkodziło, gdybyśmy i tu mogli być szczęśliwi, czyż to może mu być miło, że my, cierpiąc, płaczemy i bluźnimy z bólu?

— Ja Panu opowiem bajkę.

— Kiedy Pan Bóg stworzył człowieka, pokazał mu od razu wszystkie światy i wszystkie rozkosze, jakie w wieczności go

czekały i rzekł „patrz człowieku, to wszystko ja stworzyłem dla ciebie.“ Człowiek zdumiał się bardzo, długo stał nie mogąc słowa przemówić, aż wreszcie rzecze wzruszony: „Jako Panie mój i to tak daremniutko miałbym tego wszystkiego używać!“ Darmo—odpowiada Bóg, bo czemuż ty biedaku możesz mi zapłacić? A człek, że to był ambitny, bo na obraz i podobieństwo Pana Boga stworzony rzecze: „Darmo ja Panie Boże wziąć tego nie mogę, boby mi to całą wieczność na sercu leżało; ale gdy już taki bardzo dobry jesteś, to daj mi jeszcze możliwość choć w części zasłużyć na to wszystko, co tu widzę i dowieść jak bardzo wdzięczny Ci jestem. Wtedy Pan Bóg odkrył chustkę, którą była ziemia przykryta i pokazując człowiekowi wszystkie pokusy, nędze i rozkosze, jakie na niej się mieszcza—rzekł: „Idź, żyj tam, a jeżeli wśród wszelkich złud i cierpień nie zapomnisz o Mnie i choć iskrę miłości zachowasz w twym sercu, to wróciwszy tu, będziesz miał zadowolenie wewnętrzne, żeś zasłużył sam na to, com ci ofiarował darmo.“ I poszło biedne człowieczysko na ziemię. Tylko odchodząc przypadł do stóp swego Ojca i Pana i rzecze lękliwie: „A przebaczysz-że mi mój Ojciec najlepszy, jeżeli zapomniawszy o Twojej dobroci, sarknę czasem, lub niebaczny zanadto zanurzę się w błocie życiowym?“

A Pan Bóg objął go za głowę jak ojciec syna, którego na bój wyprawia, duża świetlana łza upadła z oczu Jego na serce człowieka i rzekł: „Przebaczę ci synu i obmyję tą łzą moją, ilekroć serce twoje zadrga żalem i miłością dla mnie i wrócisz znów biały i czysty jak dzisiaj..“

Stary skończył, pomyślał chwilę i ośmielony zamyśleniem swego pana dodał:

— Boć człowiek uczciwy nawet tu na ziemi nie chce nic wziąć darmo, tylko koniecznie czemkolwiek zasłużyć lub odwdzięczyć się pragnie. A dewiza Jaśnie pana, którą całe życie tak szczyli się: „nic darmo“ — czyż nie tosamo mówi, prawda Panie?

— Prawda, prawda stary mój druhu, no ale dość na dziś tej filozofii, chodźmy już, bo coś mi chłodno.

Wróciwszy pod wpływem rozmaitych wrażeń nie mógł usnąć pan Solski. Zadzwoił i kazał kupić sobie jakąkolwiek gazetę do czytania...

— Szabas dziś Jaśnie panie, nic dostać nie można, ale są tu w stoliku jakieś książki zapomniane przez jedną staruszkę, może Jaśnie pan zechce przejrzeć.

Solski wyjął książki; były to Wyznania św. Augustyna i Naśladowanie Chrystusa, przez Tomasza a Kempis. Zaczął przeglądać z uwagą i o dziwo! Znalazł w tych starych książkach tak dużo nowego i nieznanego mu dotąd. Czytał, rozważał i nie mógł zmróżyć powiek tej nocy.

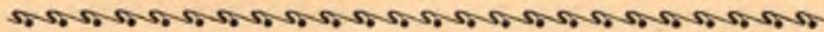
Z rana wałęsali się znów po okolicach, wynaleźli sobie ładny domek z ogródkiem na mieszkanie i poczęli się krzątać koło urzędzenia go. Kwestyi religijnej ni pan ni sługa nie potrącali więcej, tylko codziennie o jednej porze brali kapelusze i szli w milczeniu do kościoła. Pan Stanisław stał jak zwykle skupiony, zasłuchany i wpatrzony w obraz Matki Bożej, usta jego nie poruszały się, lecz serce już się modliło, już kochało...

Jakież było zdumienie i radość poczciwego starego sługi, gdy w ostatnie dni maja ujrzał swego pana u stóp konfesjonału, dokąd od lat czterdziestu nie podchodził wcale.

Obaj siwowłosi, kapłan i penitent byli bardzo wzruszeni, obu im płynęły po twarzy gorące łzy radości i nieznanego dotąd błógiego ukojenia...

A stary sługa padł krzyżem u stóp ołtarza i w prostej, lecz gorącej modlitwie dziękował Cudownej Panience, za wskrzeszenie swego ukochanego pana.

Jodła.





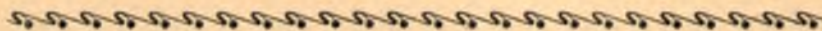
O Katedrze Łuckiej słów kilka.



Najokazalszy, najpiękniejszy z kościołów Wołynia, ozdoba Łucka i całego kraju, obecny Kościół Katedralny pojezuicki, zbudowany był w 1610 roku własnym kosztem biskupa Wołuckiego. Pierwszy Katedralny kościół z 1544 roku, była to malutka, drewniana Świątynia o jednym ołtarzu, zbudowana w czasach bardzo niespokojnych. Kilkakrotne pożary w ciągu następnych dwóch wieków niszczyły kościół; odnawiany w najcięższych warunkach znowu stawał się pastwą pożaru, aż wreszcie doszczętnie zniszczony w roku 1781, ustąpił zaszczytu Katedry, kościołowi OO. Jezuitów.

Mury kościoła i klasztoru po kasacyi zakonu, zniszczone pożarem, należały do komisji edukacyjnej. Kapituła, zapłaciwszy za nie 200.000 złotych polskich, zajęła się gorliwie restauracją, a Bp. Cieciszewski przeniósł tu swoją rezydencję.

Obecnie Świątynia pięknie wygląda. Zbudowana w stylu odrodzenia, w głębi nawy kościelnej kryje prześliczny wielki



ołtarz z Cudownym obrazem Matki Boskiej, darem Klemensa VIII, złożonym do dawnego kościoła OO. Dominikanów.

Oprócz obrazu Królowej Nieba, posiada Katedra bardzo piękne i rzadko spotykane w kościołach na prowincyi obrazy: Smuglewicza, Kunicera, fundacyi kanonika Ołyckiego, Laskarysa, późniejszego patriarchy Jerozolimskiego. Obrazy znakomitego trynitarza Prechl'a i wreszcie Gersona. Oprócz obrazów, ołtarze wzbogacają relikwie Św. Patronów, a wśród nich Czaszka i inne relikwie Św. Recessa, Patrona od morowego powietrza, dar Papieża Pawła V z 1612 roku.

Chlubą i ozdobą katedry—Skarbiec. Widzimy tam wspaniałe i bogate ornaty, monstrancye, kielichy i inne rzeczy. Oryginalny dar Bp. Cieciszewskiego, monstrancyę z kryształu górskiego i „rezurekcyę“ koralową. Dwa lichtarze z herbem Batorego. Monstrancya wyobrażająca Matkę Boską Bolesną, trzymającą na kolanach Chrystusa zdjętego z krzyża, z tak urządzoną figurą Chrystusa, że w miejsce serca wkłada się Hostya.

Wspaniała kapa, w której Bp. Naruszewicz był na koronacyi Stanisława Augusta i wiele innych pięknych i cennych pamiątek, domagających się pióra znawcy do opisania, bo się już znalazła ręka Cz. Kanonika S., która wszystko ułożyła i uporządkowała, chroniąc od zepsucia i ruiny.

Ks. M.

Sokol.



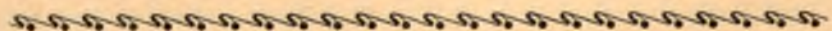


Z zamierzchłej przeszłości.



Łuck, ten teraz zapadły prowincjonalny kąt, dawniej był grodem najobszerniejszym na Wołyniu. Wydierany sobie naprzemian przez Litwę, Polskę i Ruś, posiada dużo zabytków sięgających zamglonej przeszłości.

Do najwspanialszych należą: zwaliska potężnego ongi zamku, który w XIII wieku należał do Lubarta, syna Gedymina, następnie był w posiadaniu Ks. Witolda, a w roku 1429 przyjmował w swych wspaniałych komnatach kilku monarchów, wśród których byli: Władysław Jagiełło, Eryk VII król duński, W. Ks. Moskiewski, W. Mistrz Krzyżacki i wielu licznych dygnitarzy z legatem papieskim na czele. Zjazd ten, pamiętny w historyi, miał na celu obmyślenie środków obrony przeciw wzmagającej się potędze Muzułmańskiej, tak nieprzychylniej zawsze Polsce. Inni historycy twierdzą, że wtedy Ks. Witold zamierzał oddzielić Litwę od Korony i ogłosić się jej Królem i dlatego zwołał ten zjazd i z taką bajeczną wystawnością podejmował swych gości.



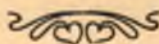
Odtąd Łuck przechodził rozmaite koleje: to wzrastał, to upadał. W roku 1684 odbył się tu sobór mający na celu załagodzenie sporów religijnych, nękających wtedy tak bardzo nasz kraj, ale rozdrażnione umysły nie przyjęły proponowanej zgody i zwołany sobór pożądanym nie sprowadził rezultatów.

Kilkakrotnie powtarzające się pożary 1781, 1800 i 1803 roku, zniszczyły najznakomitsze gmachy miejskie; dziś, ów ongi potężny i warowny zamek Książęcy, to wspaniała ruina tylko, dumnie górująca nad miastem. Dotąd w całości przechowała się jeszcze jedna z zamkowych baszt z granitu, na której urządzono wieżę strażacką.

Miło jest niekiedy pójść tam w ciepłe południe letnie usiąść na ławeczce, a mając u stóp swych spokojne fale Styru napawać się ostrym zapachem kwitnącej po murach macierzanki i dzikiej mięty. Myśl wtedy odrywa się od rzeczywistości i przenosi nas w te odległe czasy, kiedy to w przepysznych komnatach zamkowych ucztowano; stoły uginały się od sreber i kosztownych naczyń, a tysiące beczek litewskiego miodu—jak niesie podanie—wypijano dziennie; ale złudzenie chwilowe i świetne miraż przeszłości zakryć nie mogą bezgranicznie smutnej teraźniejszości: pustki i ruiny. To też o sercu ściśniętym bólem serdecznym po tem, co minęło niepowrotnie, opuszcza się te ruiny, które z roku na rok stają się coraz to dziksze, coraz czarniejsze, a takie wymowne w swem zniszczeniu!...

Łuck.

Aza.





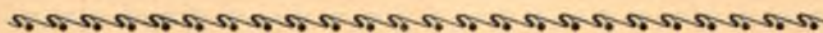
Przyczynek do historii Karaimów w Łucku.



Karaimi są oddawna osiadłymi mieszkańcami Łucka, i z wielu względów zasługują na bliższe poznanie ich historii, religii, zwyczajów i obecnego bytowania.

Nazwa *Karaimów* albo *Karaitów* — sekty żydowskiej, pochodzi od wyrazu K'ra, albo Bene-Mikra, co znaczy Pismo Święte, gdyż opierają oni swą naukę na 5 księgach napisanych przez Mojżesza, żydzi zaś rabiniści trzymają się Talmudu.

Po upadku Jerozolimy, żydzi rozproszeni po rozmaitych krajach swych zwycięzców, zaczęli przyjmować nie tylko ich zwyczaje i obyczaje, ale i przystosowywać się do ich wierzeń religijnych — wskutek czego powstały rozmaite sekty: Samarytanów, Saduceuszów, Faryzeuszów i t. d., które wywołując ciągłe spory i kłótnie, rozdawały żydów zamiast ich jednoczyć w nieszczęściu. Dla zachowania jedności i spójni w rozbitym Izraelu, uczeni żydowscy począwszy od 66 r. po Chrystusie, po-



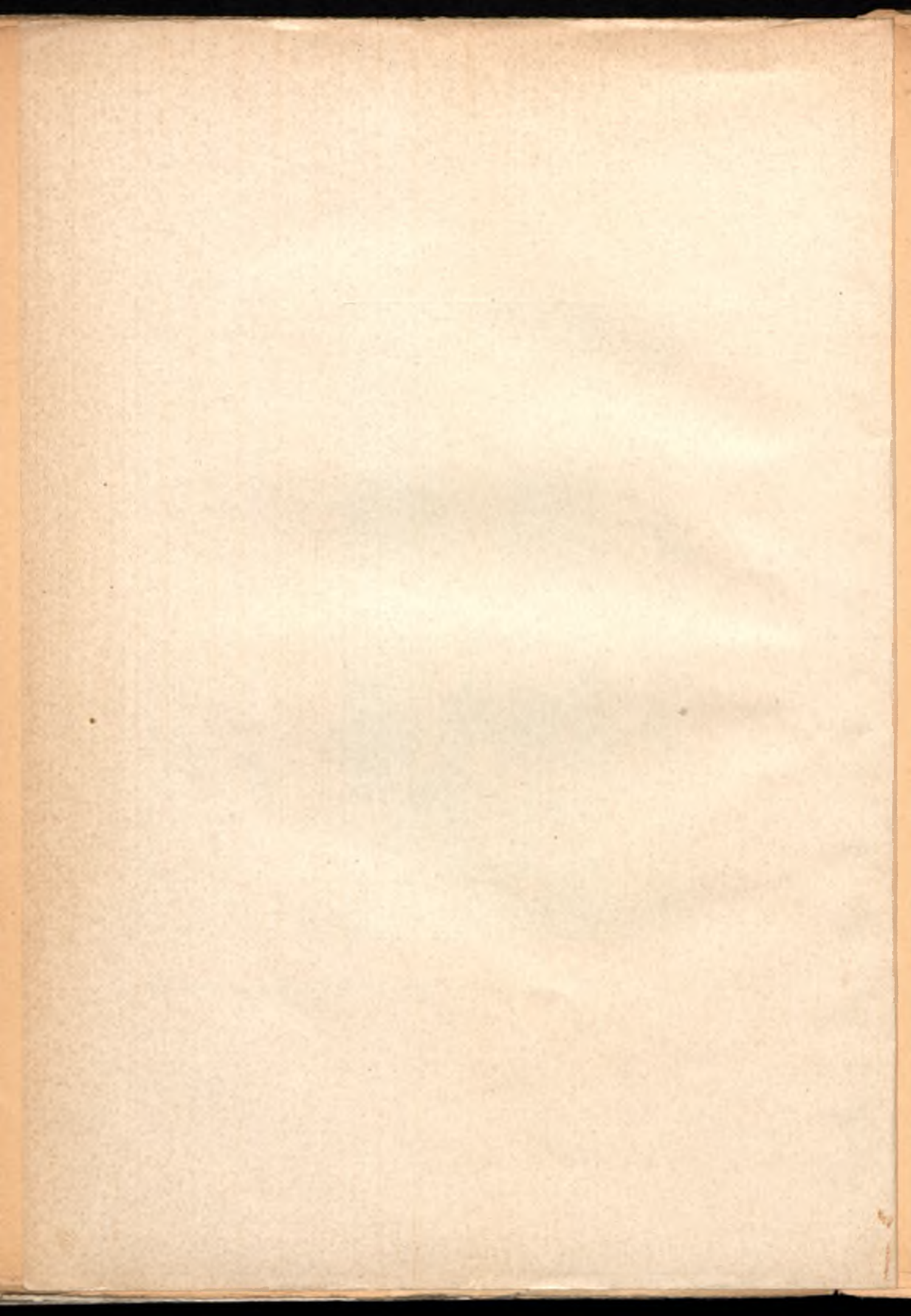
częli robić nowe komentarze do Starego Zakonu (Pisma Świętego), albo też tworzyć nowe prawa, w którychby znalazły rozstrzygnięcie wszystkie zawite kwestye nietylko z życia religijnego, ale i cywilnego, społecznego, familijnego i t. d. Z biegiem czasu powstały liczne szkoły rabiniczne w Babilonii i Palestynie, które rozwijały dalej naukę rabinów, poprawiały lub uzupełniały stare Komentarze, i w ten sposób w ciągu kilku wieków powstało całe „morze“ nauki rabinistów, znanej pod nazwą Miszna i Hemara, które razem wzięwszy, tworzą Talmud. Język, w którym pisano te księgi, nie jest czystym biblijnym czyli hebrajskim językiem, ale mieszaniną hebrajskiego, chaldejskiego, syryjskiego, greckiego i łacińskiego. Otóż, przeciwko kazuistyce talmudycznej i suprymacyi rabinistów, powstała w 2 połowie VIII wieku po Chrystusie silna reakcyja, którą zapoczątkował żyd Anan ben Dawid w Bagdadzie, (urodz. 751—um. 840 r.), za panowania światłego Kalifa Almansara. Anan odrzucił Talmud i podania rabiniczne a niewolniczo trzymał się biblii. Całą naukę zawarł w 10 artykułach wiary z których 1-e trzy odnoszą się do określenia Istoty Boga, 4 i 5 mówią o posłannictwie Mojżesza, 6 mówi o obowiązku studjowania zakonu Tory w języku hebrajskim, 7 o posłannictwie innych proroków prócz Mojżesza, 8—Bóg wynagradza i karze wszystkich ludzi cieleśnie i duchowo, stosownie do ich postępowania, 9—Bóg ześle Izraelowi Messyasza i 10—Bóg wskrzesza zmarłych w dzień Sądu Ostatecznego. Według Samuela Poznańskiego, twórcą tych artykułów wiary, nieco zmodyfikowanych, miał być Karaim Hadassi, w 1148 r. zamieszkały blisko Eupatoryi

w Krymie. Kalif, przez wzgląd na głęboką wiedzę i zasługi Anana, pozwolił mu przybrać tytuł „eksylarchy“ t. j. politycznego naczelnika gmin żydowskich w Babilonii, a ponieważ był on potomkiem króla Dawida, więc nosił jeszcze tytuł „Nasi“ t. j. księcia niewoli. Od Anana tedy powstałi Karaimi, których mahometanie nazywali *Ananitami*. Anan, wskutek zatargu z żydami, musiał ustąpić swoją władzę na korzyść młodszego brata, sam zaś udał się do Jerozolimy, gdzie zbudował pierwszą Karaimską Synagogę (która do tej pory podtrzymuje się ofiarami wszystkich karaimów) i tu rozwinął swoją naukę.

Potomkowie Anana żyją dotąd (według Karaimów) we wsi Chytta koło Bagdadu i w Egipcie, i skrzętnie przechowują swoją genealogię Dawidową na pergaminie. Po śmierci Anana liczba Kar-ów zaczęła wzrastać i doszła do największego rozkwitu w ciągu X, XI i XII wieków. Od XIII zaczyna się według świadectwa samychże Kar-ów stopniowy ich upadek, wskutek wewnętrznych niesnasek, a głównie wskutek emigracyi z jednej strony—z Palestyny do Egiptu, Konstantynopola i niektórych wysp Archipelagu, nawet do północnej Afryki i Hiszpanii—z drugiej strony z Babilonii nad Eufratem do Persyi, a stamtąd przez Kaukaz na północ rozszerzyli się po wybrzeżach morza Czarnego, głównie w Krymie. Do Krymu przywędrowali Kar-i nie z Palestyny i nie z Babilonii, gdyż tam mieściło się jądro Talmudu, a właśnie z Persyi, gdzie zamieszkali jako żydzi od czasu Assyryjskiej niewoli, po zburzeniu państwa Izraelskiego przez Salmanassara 723 r. przed Chr. Salmanassar, chcąc zniszczyć żydów przez asymilację z innymi na-



OGÓLNY WIDOK ŁUCKA.



rodami, rozmieścił ich w rozmaitych częściach swego państwa, nawet za rzeką Tygrysem, a więc w Medii i terazniejszej Persyi. Assyryjczyków zaś przesiedlił do Samaryi i innych zburzonych miast b. państwa Izraelskiego; — coś w guście terazniejszego wywłaszczenia Polaków przez Niemców w Poznańskiem. Z kolonistów w ziemi Izraelskiej utworzyła się z czasem sekta żydowska—Samarytanów, od których niektórzy uczeni chcieli wyprowadzić powstanie Karaimów. Co do języka, którym się dotąd posługują Karaimi w mowie codziennej, to ten jest rozmaity: Konstantynscy Karaimi mówią po grecku, Egipcysi i Babilońscy po arabsku, a Krymscy zachowali turecko-tatarski język. W czasie wędrówki Karaimów z Persyi przez Kaukaz na północ, zaszczepili oni swoją wiarę Chazarom, którzy posiadali zorganizowane państwo na południo-wschodzie terazniejszej Europ. Rosyi między Wołgą i Kaspijskiem morzem. Delegaci od Chazarów namawiali Księcia Kijowskiego Ś-go Włodzimierza do przyjęcia żydowskiej wiary, o czem wspomina kronikarz Nestor. Najlepiej się powodziło Karaimom w Persyi, gdzie dzięki opiece chanów, swobodnie zajmowali się handlem i budownictwem, nie zaniedbując przytem nauki, doszli też do znacznego dobrobytu. Zato w Krymie przez długi czas żyli w biedzie i nędzy, kryjąc się po lasach i jaskiniach wskutek ciągłych napadów i rozbojów koczujących ludów jak: scytów, nomanów i tatarów, dopóki ci ostatni nie zorganizowali tatarskiego chanatu i zaprowadzili pewien ład i porządek. Wtedy jeden z Karaimów z rodziny Czelabi Sinan, wskutek nieporozumienia na dworze Perskim, wyemigrował z całą ro-

dziną i ze sztabem nauczycieli do Czufut-Kale w Krymie, za panowania Krymskiego chana Mengli-Gireja w końcu XV w. (1476–1515)— Był to 2-gi chan z nowej dynastii, która wkrótce w braku poparcia ze strony Polski, przeszła pod protektorat Turcyi w Konstantynopolu. Chan poruczył Sinanowi budowę nowego pałacu w Bachczysaraju; drzwi żelazne pokoju, w którym znajdowała się wstawiona przez Puszkina fontanna, ozdobione zostały przez niego ornamentacją i odpowiednim tekstem Koranu. Znalazłszy mocny grunt pod nogami, Sinan zajął się szerzeniem oświaty wśród swoich współbraci, zakładał szkoły, biblioteki w rozmaitych punktach Krymu, gdzie mieszkali Karaici. W XVI stuleciu główną ich siedzibą była Eupatorya, (Kozłów), gdzie prowadzili obszerny handel z Konstantynopolem i portami Europejskimi, a oprócz tego zajmowali się uprawą roli i ogrodnictwem.

Na początku 15-go wieku, a nie wieku 14, jak mylnie podaje Poznański, około 1418 r. Wielki Książę Litewski Witold, podczas 2-ch pomyślnych wypraw wojennych przeciw Tatarom, sprowadził 480 rodzin Karaimskich do swego państwa. Karaici tem chętniej obrali sobie nową siedzibę na Litwie i w Polsce dlatego, że w Krymie nie znajdowali w owym czasie należytej opieki i zabezpieczenia od grabieży i rozbojów, a że lubili spokój i do polityki państwa się nie wtrącali, więc (jak to widzieliśmy już w poprzedniej historii) chętniej zamieszkiwali tam, gdzie silne państwo dawało gwarancję spokojnego, normalnego rozwoju. Według Czackiego, Ks. Witold osiedlił naprzód 383 rodzin w Trokach, a resztę w powtórnej wyprawie

na Krym umieścił w naszym Łucku i w Haliczu na Czerwonej Rusi, nadał im pierwsze przywileje, które przez niedozór lub przypadek zaginęły, gdyż Łuccy Karaici, pierwsze wiadome w historii nadania Królewskie, otrzymali znacznie później, bo od Zygmunta I-go, Troccy od Kazimierza Jagiellończyka 1441 r., a w Haliczu za Stefana Batorego. Czacki o nich powiada, że lubo mało oświeceni, ale godni poszanowania dla swoich cnót. Akta świadczą, że Karaita o zbrodnię przez 4 wieki nie był w naszym kraju przekonany. Tosamo potwierdzają i historycy Karaimscy, mówiąc, że Karaici swoją pracą, spokojnym i miękkim charakterem, zdobyli nietylko sympatyę u Polaków, ale wszystkie prawa wolnych obywateli państwa, zajmowali nawet niektóre wyższe stanowiska. Trudnili się rolnictwem, sadownictwem i ogrodnictwem, drobnym handlem, nie zapominali też o nauce, w której się wstawiły imiona: Simchy Izaaka Łuckiego, Zaracha i Salomona Trockich, (z Trok) i Mardocheusza Kukizowa;—ten ostatni żył na Rusi 1699 r. a nie w Trokach, jak to mylnie podaje S. Prik, z którego czerpałem niektóre wiadomości o Karaitach; on to na żądanie króla Szwedzkiego Karola XII, napisał zarys historyi o Karaitach pod tyt: „Dod Mordechaj“. Tenże Prik z chlubą opowiada o pewnym doktorze Trockim—Ezdra Harofe, którego sława lekarska doszła do uszu króla Jana Kazimierza, gdyż wówczas była złożona ciężką niemocą córka królewska. Król wezwał do siebie Ezdrę, który oceniwszy trafnie chorobę, w ciągu 3 tygodni powrócił zdrowie królewskiemu dziecku. W nagrodę za odzyskane zdrowie posypały się na Ezdrę królewskie łaski: uczy-

nił go nadwornym lekarzem, zbudował mu piękny pałac z ogrodem w Trokach, a Karaimom wzorem swoich poprzedników nadał rozmaite przywileje, uwalniając ich od służby wojskowej (??) i pogłównego podatku. Ezdra umarł w 1666 r. Za Jana Kazimierza Karaimi tworzyli 30 wielkich gmin, ale już pod koniec jego panowania dużo ucierpieli od wojny Szwedzkiej, napadów kozackich i Tatarów; następnie wskutek dżumy, która miała nawiedzić Litwę i Polskę w 1701 r. i wskutek późniejszej zawieruchy politycznej w kraju, stracili zupełnie dobrobyt i liczebnie znacznie się zmniejszyli, tak, że pod koniec Rzeczypospolitej, Karaimi w Trokach liczyli nie więcej nad 90—100 rodzin.

I nasi Łuccy Karaimi mają piękną kartę w historii swego narodu: jeden z nich wspomniany wyżej Simcha Izaak Łucki w 2 połowie 18 w. przesiedlił się z Łucka na Krym i napisał cały szereg dzieł, według Poznańskiego mało wartościowych, a według Karaimów cennych. Drugi Josef Szelomo Łucki wraz z Simą Babowiczem w 1-ej połowie XIX w. zasłużyli się dobrze swoim współbraciom na polu oświaty i dobroczynności; dzięki im Karaimi otrzymali znowu zupełne równouprawnienie około 1863 r. Trzeci—Abraham Firkowicz zasłynął szeroko w nauce. Urodzony 1785 r. w Łucku, w młodości zajmował się na wzór swego ojca uprawą roli i ogrodnictwem. W kilka już lat po ożenieniu się, raptem powziął namiętną miłość do nauki, zaczynając od abecadła. W ciągu 3-ch lat samouczek stał się panem Karaimskiej wiedzy, wybrany też został rabinem do tutejszej synagogi, a wkrótce potem powo-

łano go na nauczyciela religii do Eupatoryi w Krymie. W 1840 r. rozporządzając środkami, których mu dostarczyli Krymscy Karaimi, rozpoczął archeologiczne poszukiwania tak w Krymie, jak i na Kaukazie, w celu rozwiązania spornej kwestyi, jakim sposobem, skąd i kiedy wyemigrowali Karaimi do Krymu. Zgromadził 58 nagrobków z rozmaitych miejscowości Krymu, z których największa ilość pochodziła z Czufat-Kale i Sołchatu (obecnie stary Krym). Najstarszy nagrobek (na kamieniu) odnosi się do 6 r., a najnowszy do 1679 r. po Chr. Manuskrypty zaś Karaimskie w liczbie 51, odkrył w żydowskich synagogach, były one zamurowane w ścianach lub osobnych komórkach i dotyczyły IX i XIV wieku. Pomiędzy rękopisami na uwagę zasługuje kodeks ostatnich proroków, napisany w 917 r. po Chr. w Persyi i stanowić ma według Firkowicza wielką rzadkość; żadna z bibliotek Europejskich nie posiada takiego kruska. Prace swoje Firkowicz drukował w Dzienniku Ministerstwa Spraw Wewn. 1843 r. w Petersburgu, a manuskrypta i inne dokumenta umieścił tamże w Cesarskiej bibliotece. Wprawdzie uczony Harkavy w swoich dziełach pod tyt: „Encyklopediczeskij słowar, istoriczeskije oczerki Karaimstwa“ i innych wydanych w 1895—7 i 1902 latach, podejrzewa Firkowicza o fałszowanie niektórych dokumentów, mających dowodzić bardzo wczesnego zjawienia się Karaimów w Krymie, bo już za czasów Kambyza, króla Perskiego — pomimo to zasługi jego na tem polu są bardzo cenne. Oprócz tego wydał on wiele dzieł treści egzegetycznej (objaśnienie biblii), polemicznej i historycznej i w ten sposób zachęcił innych uczonych do

zbadania dziejów tego ciekawego narodu; wiele dzieł jego do tej pory pozostaje w rękopisach. Firkowicz, otoczony czcią swych współpracowników, zmarł w 1874 r. mając 90 lat.

Co do statystycznych danych o Karaimach, to w XII w. podróżnik Benjamin podaje liczbę rodzin w Konstantynopolu 500, w Damaszku 200, w Askalonie 40. W 17 w. podróżnik Karaimski Samuel ben Dawid, znalazł w Egipcie 20 domów, należących do Karaimów. Według Simchy Izaaka Łuckiego w 6-m dziesięcioleciu XVIII w. było na Krymie 500 rodzin Karaimskich, które tworzyły 4 gminy: Czufut-Kale, Eupatorya, (Kozłów) Teodozia i Mangub. W r. 1871 nasz Firkowicz w notatce, podanej cesarzowi Austriackiemu powiada, że liczba Karaimów w państwie Rosyjskiem dochodziła wówczas do 5000, a w Konstantynopolu, Egipcie i Galicyi około 1000. Obecnie według Poznańskiego, największa liczba Karaimów mieszka w Rosyi i dochodzi może do 10000: w Krymie, Trokach, Poniewieżu na Litwie, Łucku, Odesie, Kijowie i innych większych miastach na południu.

Jabym sądził, że podaną liczbę należałoby znacznie zredukować, gdyż w Łucku w ciągu ostatnich 25 lat liczba ich zmniejszyła się więcej jak o połowę. Obecnie w samym Łucku mieszka 6—7 rodzin (25 lat temu było około 20) na przedmieściach i okolicznych wsiach Łucka nie więcej nad 20—razem nie całe 30 rodzin; licząc na jedną rodzinę od 2 do 4 głów przecięciowo, otrzymamy liczbę Karaimów w Łucku i okolicach jego, 100 lub cokolwiek wyżej. Na Wołyniu oprócz

Łucka mieszkali dawniej w Rówieńskim — w Derażnem, gdzie oprócz mogiłek nic po nich nie pozostało.

Co do wzajemnego stosunku Karaimów do żydów, to po większej części był on wrogim ze strony żydów, szczególnie w pierwszych początkach powstania Karaimów, w XI w. podlegali oni nawet prześladowaniu ze strony żydów w Palestynie i Hiszpanii, przyjazne stosunki ułożyły się już w Grecyi i Turcyi, a najlepszymi (?) miały być w Polsce i na Litwie, według świadectwa żydów, w XVII i XVIII wiekach: sami Karaimi o tych stosunkach zachowują milczenie. U nas w Łucku są one obojętne.

Łuccy Karaimi mieszkają w starej dzielnicy miasta, zwanej Karaimszczyzną i nadanej im przywilejami Królów Polskich, o których tradycya żywo się przechowuje w ich pamięci. Na zasadzie tychże nadań Królewskich, posiadali ziemię w najbliższej okolicy Łucka i część teraźniejszej Hnidawy i na Krasnem, gdzie obecnie stoi szpital wojskowy, ale wskutek niedbalstwa i braku zapobiegliwości utracili ją jeszcze za czasów polskich.

Karaimi są cisi, spokojni nadzwyczaj, prawi i uczciwi, w charakterze ich jest więcej bierności i uległości, a brak energii i przedsiębiorczości i dlatego są bardzo biedni; zajmują się drobnym handlem: sprzedaż cielęciny, kur, jaj, masła i ogrodowizny, po wsiach dzierżawią mniejsze młyny, dawniej trudnili się uprawą roli, wyrobem krochmalu, a po wsiach trzymali karczmy.

Wewnątrz rodziny panuje prostota i prawość obyczajów, która najzupełniej licuje ze skromnością, czystością i wielkim

porządkiem w domu. W najuboższej izbie nigdy nie znajdowałem tego brudu i niechlujstwa, którem się odznaczają żydzi. Dla zaspokojenia potrzeb religijnych mają synagogę (*Kineza*), chylącą się obecnie do upadku z braku środków materialnych. Duchownym ich przewodnikiem, obieralnym przez gminę, jest rabin czyli hazzan, który spełnia wszystkie duchowne posługi i załatwia obrzędy rytualne. Biedna nasza gmina ostatnimi laty nie mogła się zdobyć na uczonego rabina, któryby się cieszył powagą współwyznawców, a od roku przeszło nie posiada żadnego.

W ważniejszych kwestjach religijnych lub sporach większej wagi zwracają się o radę do Trockich rabinów, albo do sławnych nauczycieli, którzy się nazywają u nich „bacham“ t. j. mędrkami, a tacy w obecnych czasach znajdują się tylko w Krymie. Dodać należy, że zarząd duchowny w obrębie Rosyi znajduje się w 2-ch punktach: Eupatoryi w Krymie dla południowych i Krymskich karaimów, a 2-gi dla zachodnich— w Trokach; do tego ostatniego należą i nasi Karaimi, tenże zarząd egzaminuje i kwalifikuje przedstawionych przez tutejszą gminę kandydatów na rabina. Łuccy Karaimi w synagogach, w modlitwach i w domowej mowie używają tatarskiego języka, z domieszką tureckiego. Dawniej, według Czackiego, w synagogach panował hebrajski język, mieli też swoją hebrajską biblię, wydaną przez chrześcijan. Starsze pokolenie, a z młodszego przeważnie kobiety, mówią czystą, dźwięczną dla ucha polszczyzną, bez żadnych obcych naleciałości, widocznie przechowali ją z dawnych czasów w pierwotnej czystości.

Obrzędy i zwyczaje religijne znacznie się różnią od żydowskich. Święcenie Sabatu i Paschy mniej uroczyste, jak u żydów, pascha trwa 7 dni. Z nadejściem Sabatu niema zwyczaju zapalania świec—odkąd weszły w życie zapałki—jak to się praktykuje u żydów, u których obowiązek ten według przepisów talmudycznych spełniają kobiety.

Przepisy religijne, odnoszące się do ciała, odznaczają się większą surowością niż u żydów. Obrzęd obrzezania, jako Mojżeszowy, pozostał tensam. Żona po odbyciu słabości uważa się za nieczystą w ciągu 3-ch miesięcy i niema prawa przygotowywać i podawać jedzenie mężowi. Tensam rygor zachowywać musi każdego miesiąca w ciągu tygodnia. W tym czasie zastępuje ją w gospodarstwie domowym inna kobieta z rodziny. Naturalnie przepisy te w obecnym czasie straciły dużo na swej sile i rzadko się wypełniają.

Dbłość o zdrowie daleko mniejsza, jak u żydów, leczą się dopiero w ostateczności, niema też tej obawy przed śmiercią, jaka cechuje żydów. Obrzędy pogrzebowe są zbliżone do chrześcijańskich. Przy łożu chorego rabin, lub starszy i poważny Karaim, odczytuje odpowiednie modlitwy. Po śmierci ubierają ciało w białą odzież, stosownie do płci, trumnę wyścielają podobno watą lub lnem, potem prześcieradłem, zakrywając niem całe ciało, złożone w trumnę, którą zamykają wiekiem. Przy ciele palą się świece. Termin pogrzebu bywa rozmaity, stosownie do okoliczności. Kondukt pogrzebowy prowadzi rabin, lub w braku jego jakiś starszy współwyznawca, poważnie, bez pośpiechu, odmawiając odpowiednie modlitwy.



Konduktowi towarzyszą krewni i znajomi, mężczyźni i kobiety. Dawniejsze karaimskie mogiłki znajdowały się w obecnej posesji pana Manukowa, za Paradnym placem, teraźniejsze zaś na końcu Wólki przed żydowskimi. W razie śmierci, zaszłej na wsi, ciało sprowadzają do Łucka.

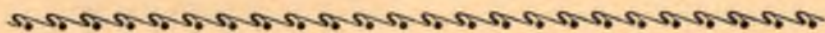
Opowiadano mi, że kilka lat temu, po śmierci młodej dziewczyny w Warszawie wskutek samobójstwa, musiano ciało jej z braku cmentarza transportować aż do Trok.

Obecne małżeństwa zawierają się w późniejszym wieku życia, niż u żydów, na co wielki wpływ wywierają złe warunki ekonomiczne. Mężczyźni w pogoni za kawałkiem chleba, za większym dobrobytem, emigrują w sile wieku do większych ognisk życia: Kijowa, Odesy, Krymu — i tam dopiero zdobywszy pozycję żenią się, albo też przebywają aż do śmierci w stanie kawalerskim; pozostałe tu na miejscu siostry ich więdną w panieństwie do starości. Oprócz tego małżeństwa Karaimskie zawarte nawet w młodym wieku, nie odznaczają się płodnością: rzadko spotykałem więcej nad 2—3 dzieci w jednej rodzinie, nawet w Krymie przy dobrym bycie, nie cieszą się licznym potomstwem. Zmniejszona płodność, ciężkie warunki ekonomiczne, brak energii i przedsiębiorczości i jakieś fatum ciężące nad tą delikatną i mało oporną rasą, są przyczyną stopniowego upadku i zamierania, do którego zdążają z nieubłaganą koniecznością. Kilkanaście lat temu czytałem obszerną broszurę o Karaimach w Rosyi i Galicyi (która niestety zaginęła mi!), w której autor na zasadzie wszechstronnych studyów nad obecnem socyalmem i rodzinnem ich życiem, przyszedł do

tychsamych wniosków, przepowiadając im stopniowy ubytek ludności i ostateczny jej zanik. Tymczasem w Krymie i na południu Rosyi prosperują nieźle, uprawiając handel i winnice; niedawno w Kijowie zbudowali wspaniałą synagogę; trochę gorzej powodzi się w Trokach, gdzie się zajmują uprawą roli i ogrodnictwem, przeważnie hodowlą ogórków i wreszcie w Poniewieżu na Żmudzi—rolnictwem. Karaimi ani pod przymusem, ani dobrowolnie, gwoli korzyści materyalnej nigdy nie zmieniali swej wiary, dopiero w ostatnich paru latach kilka rodzin przeszło na katolicyzm w Galicyi.

Łuck na Wołyniu.

D-r Józef Poczobut.



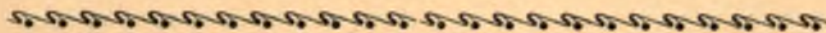


Ojczyzna

(pod pruskim zaborem).



Ojczyzna nasz, Boże Piastów, Boże Jagiellonów, Boże Sobieskich, Boże Kościuszków. Ty, który z niebios spoglądasz na męczeńską dolę naszą i przez dopust Twój pozwalasz ciemności naszym z gniazd naszych rodzinnych przemocą nas wyrzucać — niech w dni próby imię Twe święte z serc i ust naszych nie znika, niech nam siły dodaje do obrony tych skarbów, które wielkie dzieje naszego narodu nam przekazały i jeśli trzeba dla dobra naszego, abyśmy kielich goryczy do dna wychylili, niech się Twa święta wola stanie, gdyż ufamy, że przyjdzie królestwo Twoje, że narody staną się braćmi i że sprawiedliwość, której źródłem Ty jesteś, zacznie rządzić światem i nie pozwoli, by silniejszy żelazną stopą gniótł słabszego i bezbronnego. Nim chwila ta nastąpi, Ty Ojczyzna, w ciężkiej walce o najświętsze



prawa nasze, obrona których jest przez Ciebie nakazany nam obowiązkiem, wzmacniaj nas chlebem pól rodzinnych, któreśmy nad życie ukochali — wzmacniaj nas chlebem pieśni ojczystej, chlebem modlitwy polskiej na ziemi polskiej.

Wiemy Ojczy, żeśmy ciężko przeciw Tobie zawinili w dziejach naszych i że karanie Twe słusznem jest: lecz przepuść Panie ludowi Twemu, skróć czas męki naszej, gdyż dumni wobec znęcającego się nad nami wroga, przed Tobą Ojczy cisi i pokorni stoimy, ku Tobie dzieci Twe, ręce wyciągamy, abyś nas umacniał w miłości, pracy i wytrwaniu, a gdy dzień wyzwolenia nadejdzie, daruj Panie i ciemiężcom naszym, gdyż lepiej jest być ofiarą, niż katem, aby stali się godnymi przebaczenia Twego — daj im zrozumienie całej ohydy ich czynów — nas zaś Ojczy, broń od pokus, które wróg przewrotny nam podsuwa, aby w nas zabić ducha Twego.

Tak Ojczy niech się stanie, abyśmy w wielkim dziejowym pochodzie ludzkości, spełnić mogli przeznaczenie nasze zgodnie z wolą Twą Świętą. Amen...

B. F.



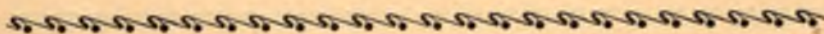


Usque ad finem!



Dwie są drogi w tem życiu, lecz jakże odmienne!...
Jedna prosta, choć wiedzie przez ciernie i głogi,
Przez głazy i przez ostrza... tu pokrwawisz nogi...
O, niechże cię nie trwożą: walka i cierpienie,
Bo znajdziesz na te szczyty, gdzie słońce przemienne,
Gdzie kres niedoli naszej—Chwała i Zbawienie!

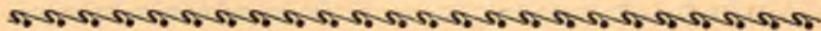
Wznies się duchem! Krzep siły!—Oto twoja droga!
Bierz swój sztandar i ruszaj z Wiarą i Nadzieją.
Choć ziemia drży w posadach, choć skały się chwieją!
Masz-li godnym praojców nazywać się synem—
Ruszaj ze swym sztandarem! Ruszaj w Imię Boga
Usque ad finem!

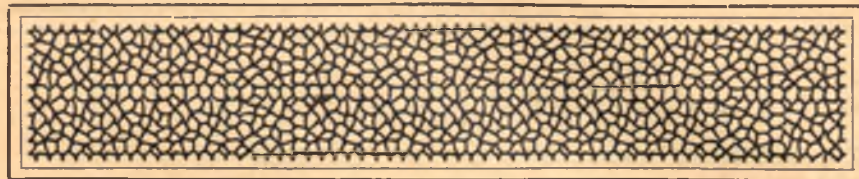


Druga droga... ach lepiej gdybyś się nie rodził!
Stój, człowieku niebaczny, gdy cię ona nęci!
To droga tych aniołów przekłętej pamięci,
W których z Nieba w dzień sądu grom Boży ugodził
I strącił do otchłani—bo Pan Sprawiedliwy.
Drżj, kto poszedł tą drogą!—Zginiesz, nieszczęśliwy!

Oby-ż Cię nie wabiły zwodnicze mamidła,
Ani pychy pokusa, ni inne ponęty—
To droga złych aniołów, to piekielne sidła!...
Człowieku!—Na Golgocie jeno Sztandar Święty—
Ruszaj drogą zasługi, w ślad za Bożym Synem
Usque ad finem!...

Przemysław K.



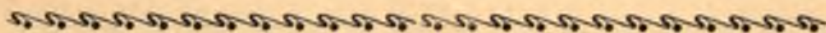


K A S I A.

(Obrazek).

Było pogodne południe niedzielne. Z pobliskich pól i łąk płynął orzeźwiający zapach traw i ziół, a w całym przestworze panował spokój cichy, łagodny, senny. Wśród pieszczących promieni słonecznych na ganeczku, pochylonym od starości, opiętym winem, w kącie ławeczki wtulona siedziała Kasia i wzrokiem pełnym dręczącego oczekiwania, patrzyła na drogę.

Serce biło jej gwałtownie, w oczach świeciły łzy, a na ustach osiadł wielki, bezbrzeżny smutek. Za chwil kilka los jej się tu rozstrzygnie: matka przyniesie ostateczną odpowiedź narzeczonego, który jej już się i tak przez pół wyrzekł, żądając ślubu w kirsze i wyjazdu do Niemiec.



Ona, córka zakrystyana, wiernego tyle lat sługi kościoła, który umierając, wraz z błogosławieństwem zostawił swej jedynaczce jako jedyną po sobie spuściznę, te wyrazy: „Kochaj Boga całym sercem i nigdy go nie odstępuj,“ — miałyby sponiewierać słowa ojcowskie?... Przenigdy! Za nic się ona swej wiary nie zaprze, za nic nie wyrzeknie się i nie sprzeda rodzinnej mowy dla kilku piędzi ziemi, obiecanych Wojtkowi przez stryja z Prus, zakutego Niemca.

Toć dusza ojcowska na tamtym świecie nie zaznałaby spokoju, gdyby zapomniała ostatniej jego prośby, ostatniej nie wypełniła woli.

— Nigdy! jęknęła rozpacznie i zakryła twarz rękami, łkała długo, długo, żałośnie.

— O Boże, Boże! wirowało w jej skolatanej głowie, zaco mnie tak srodze karzesz? Zaco? Czy warto było tyle lat pracować, tyle znieść, by takiego doczekać losu? Gdzie ta dola złota, której mi tak towarzyszki zazdrościły, gdzie?...

Objęła stroskaną głowę dłońmi i chwycił ją żal sierocy, żal straszny, rozdzierający.

Wobec tłumy napływających myśli, stanęło w pamięci Kasi wspomnienie całego jej dzieciństwa: nadmierna praca matki, jej nadludzkie wysiłki, aby utrzymać domek po ojcu, pomoc sędziwego proboszcza, jego nauki i rady, a wśród tego wszystkiego przewijała się pogodna, zawsze uśmiechnięta twarz Wojtka, jedynego towarzysza, wiernego przyjaciela od najmłodszych lat.

Wspólne zabawy, wspólna nauka na plebanii, jednego

dnia razem odbyta Komunja Święta, a potem... to ich kochanie szczere, serdeczne...

Teraz to wszystko gdzieś daleko odeszło, daleko, niewrotnie!

Ludzie bardzo się dziwili, gdy Wojtek, syn najbogatszego w okolicy gospodarza, biedną sierotę za żonę brać chciał, ale on z nich tylko drwił i powtarzał:

— Moje ty tysiące, moje krocie!

Na Siewną miała być pierwsza zapowiedź, to też w kufrze u matysi na zielono pomalowanym, sporo się rozmaitych rzeczy nazbierało: i pościel tam była dostatnia i śnieżnej białości z domowego płótna uszyte koszule. Siostra Księdza białej piki na ślubną suknię z Warszawy przywiozła, chrzestna śliczne kapy szydełkowe na łóżka ofiarowała, a gdy olśniona tylu drogocennościami pokazywała je Kasia narzeczonemu, odpowiadał:

— I w jednej sukieneczynie wziąłbym cię, byleby prędzej na własnym potańcować weselu.

Gdy tak mówił, dziewczyna zamykała oczy i w słodkim rozmarzeniu widziała się już w ślubnej sukni, w mirtowym wianeczku na głowie w kościele przed księdzem proboszczem, ubranym w błyszczącą kapę. Organy ślicznie grają „Veni Creator,” koło niej stoi Wojtek, jej kochanie najmilsze, wysmukły, zgrabny, w czarnem ubraniu, z bukietem weselnym u boku. Głową przerastał wszystkich. A wokoło nich moc ludzi, ścisk tak wielki, że oddychać nie można. Poza nimi szmer podziwu i zazdrości pewno...

A teraz co? Wieść o ich zerwaniu pójdzie pomiędzy sąsiadów, którzy jej pobudek nie rozumieją, osądzą, ogadają sierotę, potępią.

O, dolo moja, dolo, co ja pocznę, co ja pocznę, co ja pocznę? myślała, rozpaczliwie, chwytając się ostatniej iskry nadziei, że może matka jej i kuma Wątorkowa zdołają wpłynąć na Wojtkę. Boć przecie oni już bez siebie w oddaleniu i rozłączeniu wiecznem żyć nie mogą, nie potrafią! Nic im do szczęścia nie brakło, nic, dokąd nie przyszedł list z Wrocławia, ohydną pisany polszczyzną, w którym bogaty, bezdzietny stryj wzywał Wojtkę natychmiast do siebie.

Zaraz wtedy jakiś lęk straszny, niewytłomaczone złego przeczucie zajęło Kasię, ale sprzeciwiać się nie śmiała.

Dziad Wojtkę z Prus pochodził i jak ludzie mówili luteraninem był, ale syna po katolicku wychował i z Polką ożenił. To też zdumienie wszystkich nie miało granic, gdy Wojtek, powróciwszy do domu, zapowiedział, że się wkrótce do Prus przenosi, bo Niemcem jest i duży majątek po stryju weźmie.

Ani prośby ojca, ani łzy matki nic nie pomagały. Harda, nieugięta natura niemiecka odezwała się w chłopcu i ustąpić nie chciał. Z Kasią nie zrywał wprawdzie, ale nastawał, by ślub dawał nie Ksiądz, a pastor i nawet książkę niemiecką do nabożeństwa jej przywiózł.

Na razie dziewczyna, ogromem przestachu zdjęta, wierzyć temu nie chciała, ale kiedy Wojtek coraz natarczywiej żądać zaczął, by się po niemiecku uczyła, rozpacz jej granic nie miała.

— Jeśli chcesz iść ze mną, musisz robić to, co ja każę oświadczył wtedy Wojtek stanowczo—inaczej każde z nas pójdzie swoją drogą. Rozumiesz?

Kasia w pierwszej chwili na odpowiedź zdobyć się nie mogła. Zbladła tylko i w oczach jej odmalowała się groza tak bezmierna i boleść tak bezgraniczna, że Wojtek się zmieszał i spuścił ku ziemi oczy.

— Podły! wyrwało się nareszcie z zaciśniętych ust dziewczyny, — podły! kiedy tak — idź sobie i nie wracaj!

Wojtek bez słowa odszedł, a ona od tej chwili jak nieprzytomna, z oczami pełnymi bóleści bezbrzeżnej, wyczerpana bezsennością i łzami, siadywała na ławeczce przed domem godzinami całami i powtarzała:

— Wojtku, Wojtku, za coś mię tak ciężko skrzywdził? Za co? Dziś ze zwykłej martwoty wyrwało ją przyjście kumy, która dowiedziawszy się od ludzi, jakoby Wojtek zaciętości swej żałował, radziła krok pierwszy do zgody uczynić i iść w odwiedziny do jego rodziców, a chociaż przyzwoitość i ambicya na to nie pozwalały, matka po krótkim namyśle, zdjęta żalem nad swą jedynaczką, przyjęła projekt kumy i przebrawszy się odświętnie, razem z nią poszła.

Godziny wlokły się wolno, a Kasia jak skamieniała, bez sił siedziała na ganeczku, czekając ich powrotu. Chwilami porywały ją dreszcze, to kamienna ogarniała martwota, to znów jęk się z piersi wydarł po błysku nadziei, że może to wszystko przykrym snem jest tylko, który przejdzie, rozplynie się w niepamięci i znów jutrujenka szczęścia dla niej zaświeci.

Nareszcie na drodze ukazały się postacie powracających kobiet. Matka szła pośpiesznie milcząc, z głową spuszczoną, kuma zaś przeciwnie, mówiła coś ciągle gestykulując żywo, przytem przystawała często, ocierając czerwoną chustką obficie spływający pot z czoła.

Kasia wstała.

— A co? a jakże? rzuciła gorączkowo dochodzącym. Matka bez słowa usunęła się na ławkę, a kuma, odsapnąwszy kilka razy, westchnęła głęboko i rzekła:

— Pewności ci żadnej nie przynosim, ale też i konfuzya żadna nas nie spotkała: przystojnie nas przyjęto, utraktowano należycie.

— Ale Wojtek co mówił?

— Nie wiele, talary ino, przysłane przez stryja na drogę, liczył, a gdyśmy się żegnały powiedział:

— Niech tam Kasia nosa do góry nie zadziera, fochów żadnych nie pokazuje, robi to, co ja chcę, a wielkie szczęście mieć będzie.

— Co? zawołała dziewczyna, co? A oczy jej błysły długo tłumionem wzburzeniem. On to śmie szczęściem nazywać i obiecuje taki los, jak Magdy, co to poszła za tego przekłętego Fryca, który ją po roku „polską świnią“ nazywa i do kościoła świętego chodzić broni, a polskimi książkami w piecu pali! A niedoczekanie jego, żeby ze mną tak było, wolę nie żyć, wolę...

I nie mogła dokończyć, łkanie zdławiło jej głos w gardle i przeszło w wybuch krótkiego, nerwowego śmiechu.

— Nie warto się martwić tak bardzo, zaczęła kuma, ale Kasia nie słuchała jej dłużej: jak strzała zbiegła ze schodów i nie podnosząc głowy, szybko poszła przed siebie.

Szła długo, długo... dopiero przed bramą cmentarną przystanęła i nie oglądając się, na cmentarz weszła.

Pogodny zmrok letni zapadać począł i cisza tu była wielka; nawet najłżejszy szczebiot ptasząt, najmniejszy szmer liści nie przerywał wiecznego spoczynku tych, co po za życiem tam, w lepszej już stronie byli.

Na mogile ojca Kasi krzyż wysoki milczące wyciągał ramiona. Do stóp jego dziewczyna przypadła, obu rękami objęła i z przyciśniętą do niego głową, płakała długo, długo, gorąco, szepcząc cichutko.

— Ale ja jego, tatusiu, nigdy nie zapomnę, nigdy!

I świadomość wielkiego bólu, ale i potrzeba ofiary, przeniknęła ją całą.

Koło niej dwie duże, zielone, młode brzozy, przechyliwszy się ku sobie, szeptały cichym smutnym szmerem, a nad nią na niebie parę bladych gwiazdek błysnęło i zgasło w białej wieczornej mgle. Na tle zapadającej nocy tylko czarne czuwają krzyże!..

Łuck, 1908 r.

Aza.





O z m r o k u.

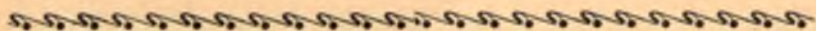


*O! walki bez celu! o bólu serdeczny,
Ulećcie w przeszłości mgłą ciemną...*

Ciemno, szaro w około mnie... a z najgłębszych tajników mej duszy powstaje olbrzymia tęsknota i w swoje potężne ramiona bierze całą moją istotę. Czyż oprzeć się mogę, jej wszechpotężnej sile?

Niegdyś... dawno już bardzo, kiedy na ustach miałam uśmiech jasny, szczery i piosenka moja rozbrzmiewała od rana do wieczora niby skowronka śpiew, przyszła ona ta wszechwładna pani i swoją mocą przygniotła mi ducha, zabrała jego swobodę, siłę, wiarę w ludzi, zapał do pracy i czynu, czemu to zrobiła czemu!..

Potem odeszła lecz na zawsze okuła mnie w swe kajdany. I nigdy już nigdy ni słońca promienne blaski, ni uśmiech szczęścia, ni marzeń tęczyowych roje nie zdjęły ze mnie jej żelaznych pęt! I bezwiednie prawie zżyłam się z moją tęsknicą



i nie czuję już nawet jej ciężaru. Stała się ona drugą moją naturą. Więc czemu dzisiaj tak bardzo mi smutno, czemu?

Zdumiałam się nad tym okrzykiem mego serca i z trwożą patrzę w ciemne kąty pokoju, z których zdaje się wypełzają jakieś cienie i wyciągając ramiona idą ku mnie! Podchodzę do okna. Wicher uderza o szyby i huczy, huczy z łoskotem. Na dworze mgła. Wpatruję się chwilę bezmyślnie i zdaje mi się, że widzę przed sobą orszak mar białych, płynących w pomrokę nocną. Za czym one idą i do czego dążą?..

A może to myśli moje wyzwolone na chwilę, bezwiednie prawie zwracają się w stronę mych wspomnień, pełnych smutku niedoli? Czemu los nieubłagany, zabrawszy mi wszystko, nie zabrał i pamięci?..

Czemu?.. Gdyby nie ona miałabym dziś w duszy ten wielki cmentarny spokój, po pogrzebowych porywach młodości.

Ach ta młodość, młodość! Jak ona wierzy, że jej od życia wszystko się należy, aż nagle przyjdzie rzeczywistość, ideały w proch się rozpadną znikną wierzenia, złudzenia tęczowe i z pustką trzeba iść dalej i dalej, gdy nawet ostatnia iskierka nadziei opuści.

A jakie to straszne w twej milczącej dumie, która obłudnej litości nie chce, nie! Obłudnej, bo na prawdziwą tak mało kto zdobyć się może i pragnie. Co kogo obchodzi nasze łyzy, zawody, pragnienia czynu, celu jakiego?.. Szablonu tak wiele, a prawdy tak mało...

Rozmyślałam. Dałam się porwać zwykłemu swemu usposobieniu, lubiącemu wszystko poddać analizie znów szarpnęłam

własnym sercem i rozkrwawiam zagojone rany. I poco ja się tak męczę? Zapytuję siebie rozpaczliwie. Męka moja serdeczna na nic się nie przyda nikomu, bo we mnie tak mało chęci, tak mało siły do życia.

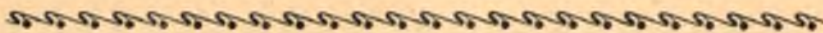
Poco?.. Aby utracić siłą woli zdobytą tę odrobinę spokoju i znów się miotać i znów rozigrać nerwy i... cierpieć. Nie! to doprawdy śmieszne, lecz z sobą mogę być szczerą, choćby na chwilę tylko.

Czasem mówimy chętnie z innymi o urojonych naszych cierpieniach, lecz o prawdziwych wolimy milczeć, wychodząc z tej zasady: „Les hommes raillent mais ne consolent jamais“ — ludzie drwią, lecz nie pocieszają nigdy. Milczenie bywa nieraz silniejszym protestem, niż słowa, te dźwięki bez treści często.

Stanowczo dzisiaj jakaś pesymistyczna ozwała się we mnie nuta, a taka już pełna byłam spokoju po daremnych wysiłkach nieświadomych pragnień, a może po porywach rozbującej wyobraźni tylko.

Wicher silniej zajęczał. Porwał z ziemi tysiące białych płatków, miotał nimi na różne strony i białą kurzawę podnosił ku niebu. Zdało mi się, że jeden mały płateczek oderwał się od zbitej masy i chwilę walczył z porywającą go siłą. Biedny! Cóż on znaczy wobec tysiąca innych! To tak, jak daremny bezowocny wysiłek jednostki!..

Napróżno walczę z ogarniającym mnie smutkiem, wszystko co dawno przeszło staje mi przed oczyma, przymykam oczy bo czuję ból. I siłą kontrastu z tem, co się we mnie dzieje



pożadam spokoju. Jak to jedno jedyne pozostało we mnie jeszcze pragnienie. Chwil kilka chociaż!.. To tak niewiele a tak dużo. Zresztą z samą sobą rachować się nie mogę, chociaż teraz obliczamy rzeczy najbardziej nawet moralnej natury, korzyści to nie przynosi, tylko coraz większy czujemy w duszy rozdźwięk, i coraz większa otacza nas pustka.

Niekiedy przychodzi to tak powoli, że wtedy dopiero na dobre ją odczuwamy, kiedy przygniecie nas ona swym ogromem. Otóż ja się strasznie pustki boję, może dlatego, że jest ona we mnie i wokoło mnie...

Ciemności coraz większe mię ogarnęły, nie rozróżniam już nawet sprzętów, dorzuciłam kilka polanek na kominek i cały snop złożonych iskier strzelił wesoło w górę. Ciepło i światło dziwny mają zawsze dla nas urok. Jak zacisznie w moim pokoju, żaden tu odgłos nie dochodzi, tak jakby świat cały był gdzieś daleko...

Teraz on dla mnie nie istnieje.

Siadłam na fotelu oparłam głowę o poręcz i staram się o niczem nie myśleć. Lecz to nie tak łatwo! myśli skrępować nie sposób, leci ona i dąży nie zawsze tam gdzieby wola nasza chciała.

Powoli zmęczona wysiłkiem zamykam oczy, rzeczywistość znika, ogarnęło mię senne jakieś rozmarzenie. Widzę się na kolanach mej matki i słyszę słodki głos ojca: „Patrz pieszczotko com ci przyniósł“, a ja bezmiernie uradowana porygam za rękę dużą woskową lalkę, która mówi: „tata, mama“ i z nadmiaru wzruszenia na podziękowanie nawet zdo-

być się nie mogę tylko tulę lalkę do serca długo, gorąco. Potem, gdy ją stłukła, boleść moja była tak wielką, że na łzy nawet zdobyć się nie mogłam i suchymi oczyma wodziłam po jej szczątkach. To była moja pierwsza wielka rozpacz.

A teraz staje przedemną ten cudny poranek życia; pełen fijołków, wrażeń promiennych, pragnień szczytnych i ofiary. Sen uroczy uleciał, popłynął na fali życia i nie powróci nigdy, lecz za chwilę jest znów ze mną i razem wznosimy się w krainę dobra, piękna, ideału!.. Obejmują mnie czyjeś ramiona czuję na twarzy lekkie tchnienie i widzę oczy pełne blasku i miłości wpatrzone we mnie.

To ty jesteś przy mnie, o matko moja, źródło miłości bezgranicznej! Odeszłaś odemnie, a w sercu mem zerwała się struna, która nie zabrzmi już nigdy. Nigdy nie ujrzę już Cię, lecz ty jesteś teraz przy mnie... Tęsknię do ciebie i za tobą, tulę się w twe ramiona, ogarnia mię spokój dziwny, słodki spokój! a do duszy sływa ukojenie i rozjaśnia choć na chwilę mroczną pustkę serca.

Wnieśli lampę. Ocknęłam się. Światło spłoszyło moje sny, znikły, już ich niema!.. W oku czuję łzę tylko. Ale dobrze mi. W znękanej duszy w oddali majaczy świt, a więc i dla mnie jeszcze zajaśnieje dzień pragnienia, czynu i walki.

O błogosławiona pamięci, dałaś mi więcej niż żądałam, bo dałaś mi chwil kilka szczęścia, lecz dlaczego można je znaleźć w marzeniu tylko — dlaczego?..

Łuck.

Aza.





N a s t r ó j.



Mrok... czarny, ohydny mrok. Ciemne miedziane chmury... i jakaś cisza szalona, rozpaczna cisza... A chmury się kłębią, chmury płyną, szaleją, walczą!.. Coraz niżej, coraz niżej... I cicho choć walka trwa tam w górze, choć chmury się wiją w konwulsyjnym wysiłku... I coraz niżej... I tłoczą tu! w piersi cisną, i miażdżą i katują!.. Powietrza! tchu!.. A chmury ciężkie, miedziane i takie smutne.

Taki bezmiar tęsknoty z nich wieje,—tęsknoty rozpacznej, bez nadziei...

I ani jednej kropli, ani jednej deszczu kropelki...

Chmury milczą i cierpią.

Nie płaczą choć się z bólu wiją...

Łez! łez!

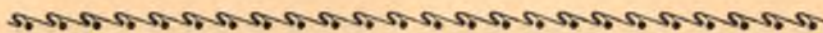
Płyńcie dżdzu strugi szerokie! Może z wami ból spłynie.

Cicho... ani jednej kropelki...



A tak boli tak szalenie boli.
Tchu!
Coś się łamie, coś wyje, coś się spopiela na wieki...
Nic... tylko czarne niebo; tylko noc cicha, ponura...
Słońca! ach słońca! choć jednego promyka, choć jednej gwiazdki świetlanej!
Mrok... i walka... i ból...
Dość! dość!
Uciekać gdzieś w bezkres! daleko! O chmury precz! ja was przeklinam! precz! precz!.. Tak boli... tak szalenie boli... i was, o chmury szerokie! Taki bezmiar smutku z was wieje.
Więc płaczcie! płaczcie!
Płaczmy razem z bólu, z tęsknoty.
Płaczmy!.. może z łez wstanie nadzieja; może tęcza ukaże się w dali.
Nie! nie! Niema łez, niema! skryły się gdzieś głęboko, gdzieś w samym mózgu, w samem sercu; i tłoczą, i gryzą, — lecz nie płyną. I niema łez i niema nadziei: a tak boli, a chmury się tak kłębią i tesknią do słońca. A ono się skryło. I cisza martwa bez końca, na wieki! na wieki... do grobu...

Z. G.

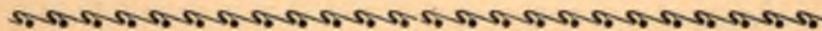




Z Wawelu.



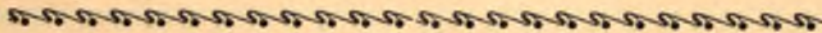
Stąd śmiało patrzymy Wam w oczy,
Choć dłonie nam wiążą kajdany,
Niewola choć dusze nam toczy,
Choć nam zadajecie wciąż rany.
Stąd z dumą patrzymy Wam w oczy,
Tułacze i ruin my dzieci:
Bo złom każdy, rana co broczy,
I siłę i dumę w nas nieci.
Z Wawelu hen, cichy szept płynie.
Baśń jakaś na wsze leci strony
O dawnej, o silnej krainie...
Głos rośnie, baśń płynie i gwarzy
O Piastów potężnej rodzinie;
Duch z baśnią się zlewa i marzy,
Że w dale zamglone gdzieś płynie,



I widzi on pola zielone,
I trupy krzyżowych rycerzy,
I miecze krwią wrażą zbroczone,
I stosy strzaskanych puklerzy.
Grunwaldu to pola szerokie,
Krzyżackie to hufce zgniecione,
A niebo to cudne, wysokie,
To nasze, to polskie, rodzone!
Wysłuchajcie się w Wisły plusk cichy,
Słyszycie wy pieśni i granie?
I cudnej poezyi przepychy,
Żalose lir dźwięcznych płkanie?..
Ach! ile tam smutków, tęsknoty,
I mocy szalonej i siły,
I myśli szerokie poloty,
I sny co gdzieś dawniej się śniły!..
Wysłuchajcie się w wichru poświsty,
Z daleka, z daleka głos leci,
Widzicie: hen tuman traw mglisty,
Kibitki wśród śnieżnej zamieci!..
A tutaj—to czarne ugory
Zlewane krwią naszą i łzami,
Lat tyle przymusu, pokory,
I pastwień się strasznych nad nami.
A wszystkie olbrzymie kościoły!
Te wały wiekami szczerbione!
Kurhany zwalone na poły,

Od traw miękkich wiosną zielone!
Stąd z dumą patrzymy Wam w oczy.
To nasze ruiny; to szczyty
Skąd w dale głos płynie proroczy,
Że dla nas nadzieją znów świty...

Z. G.

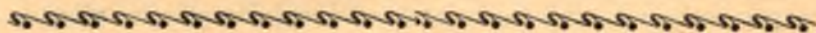




Szept.



Promień słońca. Taki cudny, złoty promyk. Wyjrzało z za chmury takie złote, duże, jasne i oblało martwiejącą ziemię potokiem ciepła i światła. Z dali, z nieprzystępnej dali, z błękitu, płynie ten snop światła taki cudny, a taki daleki, taki rozkoszny, a tak niedostępny. I patrzy słońce na ziemię i uśmiecha się do niej po przez rosę deszczu, wiszącą na drzew konarach. A ziemia czarna, ponura, wyciąga swą pierś wilgotną i chłodną ku słońcu i szuka jego promieni; i szuka tego ciepła, tego światła, którem żyła kiedyś, tego pocałunku namiętnego, a rozkosznego, który dawał jej młodych marzeń roje; marzeń o kwiatów kobiercach i łąkach zbóż złotych. Szuka... A słońce patrzy po przez nagie konary i uśmiecha się do stosów liści żółtych, starganych. A uśmiech to straszny, szydarczy. To śmiech życia, młodości i wesela nad zniedołężniałym starcem. To śmiech zwycięzcy nad zmiażdżonym, u nóg się tarzającym przeciwnikiem. To śmiech kochan-



ki nad porzuconym wielbicielem. To obietnica miłości, gdy uchodzi życie! Wtem wionął wiatr. I zaszumiały listki, i podniosły się ostatnim wysiłkiem ku górze, ku temu słońcu i bezsilnie trzepoczące się spadły znów na ziemię. I zaszumiały i zaszemrały z cicha. A szmer to był straszny; szmer bólu i rozpacz. To roje wspomnień zatargały niemi;—roje wspomnień o wiosnie. Wspomnienia te lawą wrzącą uderzyły w myśl zamarłą i napełniły ją nowem, burzliwem pragnieniem. I porwały się listki i bezsilne znów spadły na ziemię. A słońce świeci... Hej słońko! skryj się! skryj się na wieki! Ci, co umarli, nie wstaną już z grobu, nie obudzą się do życia! więc naco wzbudzasz wspomnień roje? naco rozniecasz namiętności gasnących żar? naco dajesz niemożliwe obietnice? Czy wróci wiosna? czy zima nie przyjdzie? czy miłość bujna znów pierś rozpali? Nie! nigdy!.. to przeszło i nie wróci. Więc poco świecisz i przedłużasz męczarnie? Zniknij!.. niech wszystko co się żarzyło wygaśnie, niech śmierć przyjdzie błada; niech przyjdzie, niech się przyczai, a potem skoczy odrazu i porwie za gardło i serce na strzępy rozedrze. Niech przyjdzie! Czemu swym złotym promieniem rozbudzasz pragnienia i budzisz myśli o szczęściu?.. I wionął wiatr chłodny i słońko za chmury się skryło...

Z. G.

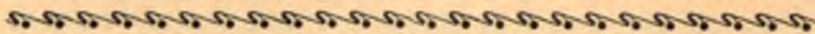




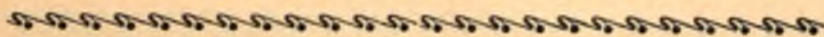
Hej piosnko.



Hej piosnko moja! hej moja ty miła!
Daleko, wysoko ty wzleć!
Wyśpiewaj piosenka, co dusza prześniła
I marzeń mych wysnuj ty sieć...
Dawniej, gdy wiosna zielona i strojna
Poila zapachem mnie bzów,
Wesoło biegałaś piosenka niestrojna
Wśród marzeń rozkosznych i snów.
Gdy burza pragnień me piersi targała
Szalonym potokiem hen w dal,
Piosenka moja, tyś hucznie się łała,
Śpiewała mą radość, ból, żal...
Później, gdy pierwsze dziecinne marzenia
Świat rozdarł i skruszył je w pył,
Ty łzę mi otarłaś; i nowe pragnienia
Wskazałaś, dodając mi sił.



I szliśmy razem. Na twoje ja dłonie
Składałem zbolaną mą skroń;
I smutno tak na mnie oczu twych tonie
Patrzyły, koła twa dłoń...
W błyszczące sobie patrzyliśmy oczy,
Pałały nam skronie i duch
Spragniony latał wśród jasnych przezroczy
I lekki mych mar snuł się puch.
Ja ci mówiłem swe troski i bóle,
I snułem wraz marzeń mych rój:
Z ramion mych skrzydła tworzyłaś sokole
I szczęścia dawałaś mi zdroj...
Dziś co ci powiem, o moja ty cicha?
Że kocham? że cierpię? lecz cóż?...
Próżne pragnienia, napróżno pierś wzdycha,
Nie dla mnie kielichy dziś róż!
Ja bóle, troski, ja całe kochanie
Tak chciałem wyśpiewać, lecz los
Zerwał mi struny. Jak ciche konanie,
Mnie boli ostatni ich głos...
Jam życie kochał. Ukochał jam ludzi
I z pieśnią poszedłem do chat.
Myślałem, pieśń dusze ze snu obudzi.
A oni naplwali mi w ślad...
Jam kochał kobietę i swoje marzenia
U drogich złożyłem jej stóp;
Ona się śmiała; więc dawne pragnienia



Skrył serca krwawiący się grób...
Szedłem na pole gdzie zboże szumiało
I słońcu zwierzałem swe łzy.
Ono jak dawniej bezdusznie się śmiało
Rzucając na ziemię swe skry...
Więc co ci powiem, o moja ty cicha,
Gdy ginie w bezkresie gdzieś wzrok,
Gdy serce tak boli i dusza wzdycha
A wkoło bezduszny wciąż mrok...?

Z. G.



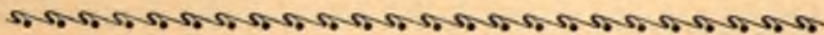


B a ś ń.

∞

Ranek... Pierwszy brzask... Z wilgotnej ziemi mgły powstały sine i płyną, płyną ku niebu... I niebo i ziemia toną i zlewają się ze sobą w fioletowem świetle. Tylko tam w górze jasno odcina się od świetlejącego nieba wspaniała i majestatyczna wieża katedry Wawelskiej...

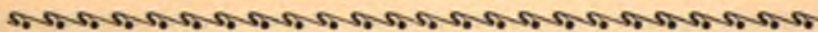
Czoło takie rozpalone, gardło suche, wzrok wytężony, oddech szybki gorączkowy... Tak... tak... to tam... tam... cała przeszłość cały smutek cała groza szalona terażniejszości, cała historia, cała wielkość przeszłości... To tam... Co to? raz... dwa... to uderzył zegar Wawelski... Gdzieś zdaleka... zdaleka, zda się płynie ten głos. Ciemno naokół tylko niebo blade-fioletowe, tylko ta wieża olbrzymia potężna... Wtem z dali gdzieś jakby z za wierzchołka wieży wyleciał szept jakiś.. Czy to wietrzyk wionął cichy?—Nie! to głos jakiś... jakiś cichy lecz dobitny głos; jakiś szept... Szept płynie z Wawelu!..



Płynie... coraz głośniej, coraz głośniej. To baśń jakaś się snuje... Płynie gwara cicha i wprost do serca wprost do mózgu... Głos potężnieje! rośnie! rośnie!.. Boże! jakiś jęk straszny!.. jakiś ryk potężny! jakaś wrzawa szalona!.. Czy to mgły kotłują się tam w dali?.. nie! nie!.. To coś silnego! okropnego! strasznego!.. Coraz głośniej coraz głośniej! Coraz bardziej się kotłuje tam w dole, coraz więcej błysków jakichś i głosów!.. Raz... dwa... trzy... Znowu zegar uderzył i wszystko ucichło tylko jeździec jakiś olbrzymi z mgieł białych się wysnuł i płynie wolno ku Wawelowi... To Grunwald, to Jagiello trąca potęgę Krzyżaków. A wieża Wawelu zda się olbrzymieje, rośnie, zlewa się z niebios całunem białym... A mgły wciąż się snują i płyną... płyną... Trochę jaśniej... Szeroka droga... śnieg biały pruszy i zaściela wszystko dokoła i tylko w dali gdzieś szarzeje i rusza się masa ciemna... Czy to polskie legiony wracają ze zwycięstwa? Czy to Samosieryscy bohaterowie pędzą na nowe podboje?.. Czerwone czapy potężne konie!.. Raz... dwa... trzy cztery... i jęk... straszny rozpaczny jęk... Boże! Boże! to Berezyna!.. I znowu droga, biała szeroka droga a na niej kibitki, długi sznur kibitek, długi sznur cierpień ludzkich, męczarni ducha, bez nadziejnych rozpaczy... a w dali przed niemi śnieżne pola Syberyjskie!.. i pusto i ciemno, i straszno... Brrr... Jaka ta szybka chłodna. A baśń jęknęła raz jeszcze i szept swój stłumiła... Wtem... promień słońca przedarł się przez mgieł szarych kłęby i padł na potężną, cichą, uśpioną zda się wieżę katedry. Pierwszy cudny promyk... I jakoś jaśniej, cieplej swobodniej...

Do szyby chłodnej skroń! Aż w ciszy rannej uderzył dzwon...
Pierwszy potężny dzwon!.. I znikły mary straszne, zamilkła
cicha baśń i promień słońca złoty oświecił wieży szczyt...
A za nią w górze tam różowy zorzy blask i białych chmurek
stada gdzieś w mglistą płyną dal...

Z. G.

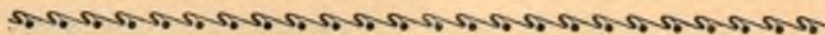




Sokół.



Z zielonych hen stepów wyleciał sokół,
Wyleciał nad szczyty on skał —
Gdzie piętrzą się złomy śnieżne naokół
I stamtąd ku ziemi wzrok słał.
Wyleciał, gdzie blade biegną obłoki
I wicher gdzie śpiewa swą pieśń,
Słońce oświetla szczeliny, roztoki,
I siną na grzbietach skał pleśń.
Wyleciał — śmiało, w twarz spojrział wicherze
W pierś wciągnął powietrze z pod chmur,
Sam się na chwilę roztopił w tej chmurze
Co piersią dotknęła się gór. —
Ach jak tu błogo! jak wicher szaleje,
Bo niema tu więzów, ni pęt!
Wyje wśród złomów i śniegu zawieje
W kaskady szalony pcha męt.
Jak tu swobodnie oddycha pierś młoda,



I serce jak bije, wre krew.
Wokoło się leje szeroka swoboda
I szumi i pryska i mieni się woda,
I wicher roznosi swój śpiew. —
A tam, tam w dali -- maluczki i szary,
Mroczny i ciasny ten świat,
A tu szerokie, przestronne obszary
I słońca błyski i zorzy pożary,
I niebo wśród gwiazdnych swych szat. —
Rzucił z pogardą wzrok sokół ku ziemi,
Tam w więzach stalowych śpi bóg —
Ten wielki bóg-człowiek — dłońmi własnymi
Sam siebie płącze więzami mocnymi
I błądzi w zamęcie swych dróg. —
Naprawdę więzień chce zerwać kajdany,
Wyciąga ku niebu swą dłoń —
Ucieka szczęście — ten cień ukochany,
I pada więzień krwią własną zbryzgany
I chyli ku ziemi swą skroń. —
A tu, tu błogo, tu szczęścia źródło bije!
Tu wolność! tu szczęście! tu dzień!
Szczęśliwe, wesołe wszystko co żyje,
A wicher tak śpiewa i huczy i wyje
I chłodzi podmuchem swych tchnień.
Och! kto raz ujrzał te skały wysokie,
Odetchnął powietrzem tych gór,
Nie wróci już w stepy szare, szerokie,

I prędzej sam zginie wśród chmur.
Bracia! sokoły! kto myślą wybują
Nad szare przestwory gdzie świat,
Z wichrem się zbratał, z nim razem pohulał,
I leciał za chmurą kto w ślad, —
Kto czołem swym śmiałem przebił obłoki,
Kto bujną myślą przeskoczył roztoki —
Nie wróci gdzie łez płynie grad:
Lecz innych porwie za sobą w te światy,
Podziwiać świtów złociste szkarłaty,
Bo sam tego świtu on brat.
On dłonią potężną skruszy kajdany,
I wstanie człowiek tak długo spętany,
I strząśnie ze skroni proch lat.

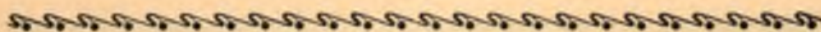
Z. G.





Daj pić...

Daj pić!... czy widzisz? wargi me spalone,
W piersi się zarzy jakiś płomień wielki,
A usta takie szalenie spragnione!
Daj rosy! kropli!.. choć jednej kropelki!..
Daj rosy!.. widzisz powieki zczerniałe
Jak nocą czarną zakryły mi oczy.
I tylko usta, usta rozszalałe
Ciebie wołają! wśród jasnych przezroczy,
Ty idziesz, idziesz, a ja próżno dłonie
Wyciągam swoje by choć rąbkiem szaty
Twojej obetrzeć uznojone skronie
I krwi gorącej zatrzymać szkarłaty!..
Daj pić!.. daj rosy ożywczej i chłodnej!
Daj promień światła co mi mózg rozświeci,
Daj chleba, chleba mojej duszy głodnej,
Co długo, próżno wciąż ku tobie leci!..
Ty idziesz, idziesz wiecznie tajemniczy,
A taki święty jako duszy pieśni,



A taki straszny jako czyn zbrodniczy,
A taki drogi jak sen co się prześni!..
Ty idziesz, płyniesz wciąż wyżej i wyżej!..
Stój! niech cię ujrzą choć raz moje oczy!
Jam silny! czuję wciąż bliżej i bliżej
Jestem ku tobie! Ja twój głos proroczy
Słyszę w oddali, lecz pośród chaosu,
Nie mogę porwać go w głąb swojej duszy!
Nie mogę zrównać z twoim mego głosu!
Daj światła, rosy!.. bo twój głos mię skruszy!..

* * *

Dawniej, hej dawniej! przed laty, przed laty
Tak dużo słońca było w mojej głębi,
A dusza była jak tych zórz szkarłaty
Czysta i cicha, jak pisklę jastrzębi...
Tak było dobrze! nocą gwiazdzistą
Do mnieś przychodził i w otwarte oczy
Patrzyłeś długo i baśń jakąś mglistą
Snułeś cichutko, wśród ciemnych roztoczy!..
I śniłem wtedy, że mi skrzydła sępie
U drobnych ramion wyrastają dumnie,
I wicher straszny co wyje na zrębie
W górze mię nosił i przyplýwał ku mnie...
I śniłem wtedy ja w tę noc miesięczną,
O jakichś kwiatkach, o jakimś błękicie,

Słyszałem w duszy jakąś piosnkę dźwięczną,
Taką wesołą jak ptasząt o świcie..
Później! hej, później ten wicher co hulał
Wraz ze mną w górze, gdzieś u gwiazd podnóży
Co mnie w noc ciemną kołysał, utulał,
Zaczął mi grozić błyskawicą burzy!..
A ja się śmiałem i brałem w me dłonie
Najsroźsze gromy, straszne błysków skręty,
I piersi silne i me młode skronie
Z rozkoszą dziką rzucałem w odmęty!..
A gdy ta burza swym strasznym chichotem
Targała duszę, co tą walką żyła,
Widziałem we mgle jak szerokim lotem
Postać Twa w górze nademną krążyła..
A potem kiedyś ujrzałem ja kwiaty,
Co kwitły cudnie i ramion marmury
Wabiące żarem i zorzy szkarłaty,
I gwiazdy jakieś, jakieś słońca chmury;
I skrzydłem młodem leciałem w te światy.
Lecz wszystko nikło jako sny te wiewne,
I tylko pustkę widział duch spragniony,
I także duchy błędzące pokrewne!..
Pragnąłem! żyłem w szalonym chaosie
Szukając ciebie, coś gdzieś znikł w przestrzeni,
Czułem cię w sobie! poznałem po głosie,

* * *

Nie mogłem chwycić! jak słońca promieni!
Ty stój!.. Wszak widzisz, wciąż idę ku tobie!
Bo ja ty!.. Z tobą-m spojony na zawsze!
Za tobą pójdę przez słońca najkrwawsze!
Przez śmierć i trupy, co gdzieś spoczną w grobie!
Przez zgliszczą! życie! przez ciała, przez dusze!..
Przez łzy, przez bóle, i jęki i płwanie,
Przez męki straszne! a gdy cień twój stanie,
Ja w głąz się zmienię! bo być z tobą muszę!..
Lecz stań na chwilę! niechaj tchu w swe piersi
Nabiorę, ostre uznojone czoło!
Rozprosz te mroki co płaczą mnie wkoło!
I pójdziem razem najwięksi, najpierwsi!..
...Daj pić!.. stać niechcesz?! napróżno me wargi
Ciebie wołają! Twój lot wyżej bieży!..
Choć pragnę napróżno! moja dusza leży
Przed tobą w prochu, w dale niosąc skargi!..

Z. G.





Kula śniegowa.

Farsa w dwóch odstępach

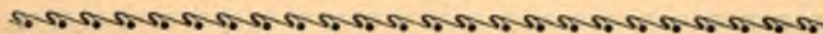
przez Wilę.



OSOBY:

P. KRYŃSKI, OB. WIEJSKI LAT 50	(dobroduszno - jowialna powierzchność)
PANI WILSKA, EX OB. WIEJSKA 45	(mina podupadłej wielkości)
PANNA MARYA, JEJ CÓRKA LAT 24	(kontrast matki, wesola)
DR. JANICKI „ 30	(przystojny blondyn)
PANI WYRZYKOWSKA „ 40	(otyła, a fertyczna kumoszka)
PANI KRUMPEL „ 30	(ubrana jak papuga)
PANNA OLIMPIA „ 40	(chuda, złośliwa, brzydka)

Rzecz dzieje się w prowincjonalnem miasteczku polskiem. Scena przedstawia salonik pani Wilskiej. Umeblowanie posiada charakter „pańskich ostatków“—pocerowane antyki, większość z uszkodzonymi nogami i poręczami wzajemnie się podtrzymuje. Godziny przedpołudniowe.



SCENA 1.

(Pani Wilska, panna Marya, obie zajęte — starsza ręczną robótką, młodsza ścieraniem kurzów).

P. WILSKA. Ostrożnie Maryniu! pomału! tak się uwijasz z tą ścierką, że wszystkie sprzęty przewracasz!

MARYNIA. Niewiele do tego trzeba mateczko! ponieważ każdy sprzęt nadłamany. *(Śmieje się).* Doprawdy, lepiej byłoby pozbyć się tej starzyzny za byle co, a kupić choćby proste drewniane stolki, byle mocne i całe.

P. WILSKA. *(Z wyrzutem w głosie).* Maryniu! jak możesz nie cenić pamiątek? To jedno nam zostało.

MARYNIA. Właśnie dlatego! Te pamiątki nie pozwalają Mamie oswoić się z tą myślą, że nie mamy nic i że ja powinnam pracować na nasze utrzymanie, ale nie żyć wspomnieniami dawnej zamożności!

P. WILSKA. Ale to jedno chroni nas jeszcze od spopolitowania się w tym świecie, gdzie nas Pan Bóg za jakieś grzechy umieścił... chwilowo *(wzdycha).*

MARYNIA. Bośmy też i grzeszyli! A co do tego świata — to jednak nie wszyscy tak w nim dla Mamy niesympatyczni..! *(podbiega i całuje matkę z przymileniem).* Nawet zdaje się Mateczka życzyłaby sobie na zawsze mnie w tym świecie umieścić?..

P. WILSKA. *(z rezygnacją).* Cóż robić! w braku czegoś lepszego... *(wzdycha znów).*

MARYNIA. O! proszę mamy! wcale nie w braku! cóż Mama może zarzucić panu Stanisławowi?

(Udaje nadąsaną i wraca do ścierania kurzów).

P. WILSKA. *(pobłażliwie się krzywiąc).* Ach, nic nie zarzucam! Czy ja wiem? Ale jakże jesteście ze sobą, ponieważ już się o tem zgadało, czemu się nie oświadczają?

MARYNIA. *(ze zmięszania porusza nieostrożnie fotel bez nogi, oparty o ścianę, ten traci równowagę i przewraca się, popychając stolik z bibelotami, wszystko się tłucze).*

P. WILSKA. Jezus Marya! Co ty wyrabiasz dziewczyno! Sewrskie figurki! i filiżanka saska twojej prababki!

MARYNIA. Ach przepraszam, Mamusiu! ja to wszystko doskonale posklejam tą masą, którą to p. Wyrzykowska radziła.

P. WILSKA. Aż, co to już warte klejone!

MARYNIA. A przecie to wszystko było już poklejone, ani jednej sztuki całej nie było! A dla pamiątki... *(zbiera kawałki i układa starannie)* doprawdy to już wszystko jedno. *(całuje matkę).*

P. WILSKA. Zawsze szkoda! No poskładaj, ja sama podobieram kawałki. Ale wszystko się dziś przewraca, tak się kręcisz.

MARYNIA. Pewno ktoś śpieszy. Może pan Stanisław?

P. WILSKA. O! z jakim śpieszeniem! Boże odpuść. Już ci mógłby się oświadczyć do tego czasu. Od roku się znacie.

MARYNIA. Kiedy mamusia takie miny przy nim robi, jakby miała dla mnie udzielnego księcia w pogotowiu, to może go zniechęca...

P. WILSKA. Chwała Bogu! Chcesz może żebym mu ciebie narzuciła! Niech wie, że nie taką partycję byłabyś zrobiła, gdyby nie ta nieszczęsna likwidacja!..

MARYNIA. Ech! gdyby i gdyby! Toć i brylanty bez oprawy tańsze, niż w oprawie—a ja niestety nie żaden brylant, ale bardzo zwyczajna panna. I zresztą nie myślę o owych udzielnych książkach, o robieniu partyi, tylko...

P. WILSKA (*przerywa z irytacją*). Tylko o czym!

MARYNIA (*po chwili*) ...tylko o przyszłości Mateczki, o znalezieniu sobie korzystnych lekcyi, abym ci mogła zapewnić wygodę!

P. WILSKA. To sobie wyperswaduj. Panna Wilska nie będzie po lekcyach biegła, póki ja żyję—bezpłatnie owszem, ile chcesz—ale za pieniądze! nigdy!

MARYNIA (*na stronie smutno uśmiechnięta*) Biedna mama! A z czegobyśmy żyły, gdyby nie lekcyje dawane pokryjomu? (*głośno*) Mamusiu! ktoś dzwoni! sprawdź się prognostyk. (*biegnie otworzyć*)

SCENA II. *Ciż i p. Kryński.*

P. KRYŃSKI (*wchodząc*). Moje uszanowanie pani Dobrodziejce (*całuję w rękę*). Jakże zdrowie Pani i ślicznej panny Maryni?

P. WILSKA. A! witam, witam kochanego Pana! dziękuję, zdrowe jesteśmy o tyle, o ile w tem szkaradnem mieścisku zdrowym być można. Cóż tam u państwa? jak urodzaje? Czemu pan swoich pań nam nie przywiózł?

P. KRYŃSKI. Droga szkaradna w tej porze! przytem ja wpadłem jak po ogień w interesie, a kobiety—nie przymawiając paniom—lubią marudzić w miasteczku — zaraz sprawunki, krawcowe, przymierzania, poprawiania — tysiące jakichś spraw, które wolę niech się bezemnie załatwiają.

P. WILSKA. Za karę przyśle nam pan Żonę z panienkami na dłużej.

P. KRYŃSKI. Ja zawiniłem, cóż panie mają pokutować dostając taką załogę na dłużej?

MARYNIA (*śmiejąc się*) Cóż robić! Niech się stanie wedle przysłowia: ślusarz zawinił... Poświęćmy się! Ale gorzej, że będzie cały szereg takich przysłowiowych wyroków, np: Panie tu nagrzeszą sprawunkami, a pan kieszenią będzie odpowiadał.

P. KRYŃSKI. Oj prawda! prawda! Jako panna Marynia wypraktyczniała w mieście.

P. WILSKA. Niestety, kochany panie, to taka materyalistka! ciągle tylko oblicza, omal że nie waży każdej kromki zjedzonego chleba, czy nie przekracza czasem dozwolonego budżetu.

P. KRYŃSKI. Bardzo dobrze! Tak należy Pani dobrodziejko!

P. WILSKA (*niezadowolona*). Niechże choć Pan mi jej nie psuje charakteru. Pfe! takie to episyerskie! Pan sam tak nie myśli, tylko mówi na przekór.

P. KRYŃSKI. Może nie robię tak—niestety—ale myślę, oj myślę—tylko cóż z tego? Ale ja tu gawędzę, a trzeba śpieszyć. (*wstaje i chce się żegnać*).

P. WILSKA. Cóż tak pilnego? Tak dawnośmy Pana nie

widziały. Jeszcze choć chwileczkę! Osoba Pana przynosi mi tyle wspomnień... (*wzdycha*)

MARYNIA. To najgorzej! Poco to wspominać i roztkliwiać się? (*do p. Kr.*) Co to Pan ma do załatwienia? Może my jako miejscowe możemy w czym dopomódz?

P. KRYŃSKI. Ale gdzież tam! Choć prawda... może mi Panie dopomogą adresem doktora Falewicza, tylko proszę obrazowo, bo ulica i Nr. domu to dobre w Warszawie, ale tu trzeba innych wskazówek niestety.

MARYNIA. Naturalnie! Otóż proszę: trzeci dom nie dochodząc od nas do kościoła — dom parterowy z czerwonymi okienicami i oszklonym gankiem...

P. WILSKA (*przerywa*). Ale proszę pana zdaje mi się, że Janicki lepszy doktor...

MARYNIA. Ach mateczko! jakże można Panu narzucać...

P. WILSKA. Cóż znowu? Obaj mi są przecie obojętni, ale Janickiego chwałą żydzi. a to zwykle dobra wskazówka. Rzeczywiście jest sympatyczny...

P. KRYŃSKI. O! i Pani nawet? to już prawdziwe szczęście do kobiet. Nic dziwnego że z niego korzysta... (*śmieje się*).

P. WILSKA (*poruszona*). Jaktó korzysta? kto dr. Janicki? (*Marynia odwraca się pomięszana*).

P. KRYŃSKI. No tak! Nic mi tam do tego — ale nie wzbudza zaufania, że bałamut, letkiewicz, cudzą żonę bałamuci...

P. WILSKA. Co też pan mówi? (*słychać dzwonek*) Maryniu ktoś dzwoni!

(*Marynia idzie otworzyć, p. Kryński chce ją wyręczyć i mówi:*) Niech pani pozwoli. (*wychodzą oboje do przedpokoju.*)

P. WILSKA. Mój Boże! tylko tego jeszcze brakło tej biednej mojej Maryni. Jeden nędzny starający się, marna partya a i to ladaco! Ale chyba to być nie może. Choć znowu Kryński poważny człowiek, przecieżby nie zmyślał. (*wzdycha*)

Wchodzą: Kryński, Marynia i pani Krumpel.

SCENA III. *Ciż i p. Krumpel.*

P. KRUMPEL. (*krygując się*). Dzień dobry! Całuję rączki paniusieczki! Jakże zdrowie? wpadłam tak... może przeszkadzam... panie mają gościa...

P. WILSKA (*chłodno ale uprzejmie*). Owszem prosimy. (*przedstawia*). Nasz dawny sąsiad p. Kryński, nasza sąsiadka pani Krumplowa. Może pani zdejmie kapelusz?

P. KRUMPEL. O nie! ja na chwileczkę. Mam do panny Maryni małą prośbę—tualetowa sprawa—P. Maryna ma tyle gustu (*do p. Wilskiej*). Czy pani pozwoli?

P. WILSKA. Ależ owszem! Jeśli Marynia może w czym być użyteczną, będzie nam najmilej. (*na stronie*). Ale twego chińskiego gustu nikt nie naprawi.

Pani Krumplowa ubrana modnie i jaskrawo, odciąga Marynię na stronę i rozwiniawszy żurnal mód obie rozmawiają cicho, przyczem obie słuchają ukradkiem rozmowy p. Wilskiej i p. Kryńskiego.

P. KRYŃSKI. (*kończąc zaczęłą rozmowę*). Tak więc pani

Dobrodziejko — nie mam zaufania do pani protegowanego, amatora cudzej żony.

P. WILSKA (*robi mu znaki wskazując na Marynię i przykładając palce do ust mówi prawie szeptem*). Ale cóż to jest? My tu rok jesteście, a niceśmy nie słyszały?

P. KRYŃSKI. I ja nic nie słyszałem, bo mnie to nie interesuje, co osoby nieznanne mi robią, a nikogo tu osobiście nie znam, przyjeżdżam tylko w interesie na krótko — lekarzy dzięki Bogu też nie znam, bo zdrow jestem jak rydz.

P. WILSKA. A jednak teraz?..

P. KRYŃSKI. Teraz zachorował mi służący, więc szukam doktora Falewicza, bo on podobno kieruje szpitalem.

P. WILSKA (*trzymając zniecierpliwienie*). Ale o panu Janickim.. Skąd pan o doktorze Janickim ma te wiadomości? (*sposstrzega że się zdradziła*). Mnie on też naturalnie nic nie obchodzi, ale kiedy już na to zeszliśmy, że tu mieszkamy (*wzdycha*) — to niech choć wiem, kogo przyjmuję u siebie.

P. KRYŃSKI. Wypadkiem wpadłem na to. Jak się kogo czasem widuje na ulicy, to się i zapyta żydka: a kto to? a że pani Falewiczowa śliczna kobieta, trudno o nią nie zapytać..

P. WILSKA. Więc to ona?

P. KRYŃSKI (*ciągnie dalej*). A pan Janicki też ładny mężczyzna. Pytam kiedyś kelnera w restauracyi — kto to ten ładny chłopiec blondyn, słuszny, z wąsami, tytułują go doktorem, (*bo i to słyszałem mimochodem*) kelner mi mówi: doktor Janicki.

P. WILSKA. Bardzo przystojny, więc cóż z tego?

P. KRYŃSKI (*ciągnie dalej*). Pewnie że to jeszcze nie kryminał. Ale pani Dobrodziejko, idę ja sobie ulicą, szarawo już było, idzie przedemną jakąś zgrabna para, bardzo do siebie przytuleni, słyszę że mówią sobie „ty“, no i co to gadać, wi- dać że zakochani i są ze sobą poufale. Wymijam, spoglądam aż to dr. Janicki z p. Falewiczową.

P. WILSKA (*składając ręce*). Czyż być może?

P. KRYŃSKI. Ot, jak mię pani żywego widzi. Ale to nie koniec. Idę kiedyś ulicą i mimowoli spoglądam na parterowe okna mieszkania, a tu gdzieś niedaleko Pań, widzę znów siedzi ta czuła para, on ją trzyma w pól, a ona się do niego uśmiecha..

P. WILSKA. Prawda, w zeszłym roku Falewiczowie tu blisko mieszkali...

P. KRYŃSKI (*ciągnie dalej*). No myślę sobie, choć to pro- wincya, ale moglibyście się też publicznie nie popisywać z ta- kiemi rzeczami; aż splunąłem z oburzenia, a oni się spłoszyli, ona uciekła w głąb pokoju, a on się jeszcze z niej śmiał.

P. WILSKA. Co za cynizm! Okropność!

(*przez cały czas tej półgłóśnej rozmowy, Marynia i p. Kryński podstuchują tak przejęte wiadomością, że zapominają wystrze- gać się wzajemnie.*)

P. KRUMPEL. (*przytomniejąc*). Dziękuję kochanej pani za radę, oto tak tę bluzkę każę zrobić. Pani zawsze gustownie dobierze. Muszę już iść. (*podbiega do p. Wilskiej*).

Całuję rączki paniusieczki, uciekam, niechcę przeszkadzać adieu, adieu! wychodzi.

SCENA IV. *Ciż sami.*

P. WILSKA. Marie, mon enfant, może przyrządzisz kawę p. Kryńskiemu...

P. KRYŃSKI. Bardzo dziękuję, niemogę, śpieszę do doktora.

P. WILSKA. Ale tak nic nie zjeść z podróży... Maryniu idź, idź przynieś cokolwiek naprędce. *(daje znaki Maryni która ociągając się wychodzi).*

Chciałam widzi pan ją wyprawić, bo to młode panny nie powinny słyszeć o takich rzeczach. To okropne, że ten jegoś u nas bywa, a jeszcze gorsze, że młoda mężatka przyjaźni się bardzo z moją Marynią. Muszę temu koniec położyć.

P. KRYŃSKI. Zapewne taka jejmość nie warta, aby ją przyjmowano w uczciwych domach.

P. WILSKA. A i ten adorator tembardziej.

P. KRYŃSKI. No, nie tembardziej!

P. WILSKA. O dla mnie tak! *(wzdycha i zamyśla się).*

(pan Kryński patrzy na nią badawczo, potem podnosi brwi znacząco i domyślnie kiwa głową, głośno):

Ale już naprawdę trzeba śpieszyć—Całuję rączki pani dobrodziejki i Panny Maryni.

P. WILSKA *(zaturbowana zapomina zatrzymać).* Żegnam kochanego pana, żegnam! *(znowu opada zbolata na kanapę i zamyśla się).*

SCENA V.

MARYNIA *(wchodzi).*

A! już poszedł pan Kryński? *(ociera zapłakane oczy i u-*

kradkiem podchodzi do matki) Mateczko! To nie może być prawdą, co mówił p. Kryński!

P. WILSKA. Słyszałaś?

MARYNIA. Słyszałam, ale czyż mama wierzy?

P. WILSKA. Moje dziecko! Tak nas Bóg doświadcza, że i to być może. Nie dość, że musimy żyć w otoczeniu nierównym nam ale jeszcze i przewrotnym. Ach niegodziwy człowiek!

MARYNIA. Kto? pan Stanisław? Nie, to ona winna! Cóż on, wolny, ona śliczna i miła, mógł ją pokochać... Ale ona? mieć męża dzieci! oszukiwać... A ja ją tak lubiłam, ceniłam?

P. WILSKA. Moja Maryniu! Co ty gadasz: on wolny! Zapewne nie przysiągł, ale czego udaje że się o ciebie stara, żeby z ciebie robić parawanik dla swoich amatorów? Pfe! kłamca!

MARYNIA. Przecie mi się nie oświadczał, więc jeszcze nie kłamał.

P. WILSKA. Proszę Cię, tak go przyjmij, aby mu się odechciało przychodzić więcej — albo ja mu otwarcie dom wymówię...

MARYNIA. Ach nie, nie mam — Już ja sama... On sam więcej nie przyjdzie...

O mój Boże! jak ja... (*placze*).

(*pani Wilska podchodzi do niej i tuli do siebie. Słychać dzwonek. Marynia ociera oczy*).

MARYNIA. O jakże ktoś nie w porę! A może i lepiej Mateczko nie będziemy o tem myślały (*p. Wilska wzdycha i kiwa żałośnie głową*)... Niech mamcia bierze ze mnie przykład...

o jaka jestem wesoła! (*przymusza się do uśmiechu*). Idę otworzyć. Ale Mamusiu! Nie dawajmy z siebie widowiska! (*przy ostatnich wyrazach p. Wilska rzeczywiście robi gest królewski, Marynia wychodzi p. Wilska pośpiesznie i patrzy za nią kiwając głową*).

P. WILSKA (*głośno*) Biedactwo!

KURTYNA SPADA.

Odłona 2 w tymże saloniku po południu.

SCENA 1.

(*P. Wilska i Marynia, pierwsza z robotą, druga z książką — p. Wyrzykowska i p. Olimpja wchodzi z minami pogrzebowymi, a razem tajemniczymi — witają się z panią Wilską*).

P. WILSKA (*uprzejmie, trochę protekcyjnie*). Witam panie (*wskazując kanapę*) proszę, może tu wygodniej. Maryniu, usuń tamten fotel. (*Znów zwraca się do gości*). Tak się przy przewożeniu meble połamały, że niebezpiecznie usiąść, a nie mogę naprawy takich sprzętów powierzać tutejszym partaczom. Gotowi mahonie sztukować olszyną!

P. WYRZYKOWSKA. O bardzo słusznie pani się obawia. Nasi majstrzy bardzo niesumienni. Tutejszy stolarz namówił mego męża na nabycie fortepianu, który gdzieś kupił z wypadku i zreperował. Stary, niedrogi instrument, akurat prawie do nauki dla dzieci. Tymczasem moja pani, przyniesiona fortepian — patrzę ja, a on połamany, klawisze ponaklejane kawał-

kami gęstego grzebienia! I jeszcze się tłumaczy, że i to przecie kość słoniowa! Oszust! Fuszer!

P. OLIMPIJA. To dla tego pan Janicki dowcipkował, że dzieci państwa biorą lekcję gry na grzebieniu.

P. WYRZYKOWSKA (z *wściekłością*). Tak mówił? Dowcipny! Odechce mu się dowcipów, jak najdroższą ześlą gdzie pieprz rośnie!.. (do p. Wilskiej) Słyszała pani szanowna, co za zgorzenie dzieje się w mieście?

P. WILSKA (*chłodno*). Nie wiem o czym pani mówi. My tak mało wychodzimy do miasta, że nic nie wiemy, co się tam dzieje—nie interesujemy się tem.

P. WYRZYKOWSKA. Ach naturalnie! Ja też nie interesuję się cudzemi sprawami—ale czasem coś jest takiego że... Ale to nawet przykro mówić o takich okropnościach.

P. OLIMPIJA. Bo to wszyscy przyjmowali u siebie tę panią Falewiczową i tego p. Janickiego nicponia!..

P. WYRZYKOWSKA. Nie chwając się mogę powiedzieć, że nawet wiele memu mężowi zawdzięcza, bo jużci jak wiadomo ręka rękę myje...

P. WILSKA (*cały czas jak na mękach*). Maryniu! pójdź zajmij się herbatą, moje dziecko.

P. WILSKA i P. WYRZYKOWSKA. Dziękujemy bardzo, my na chwileczkę—niech pani się nie trzodzi.

P. WILSKA (*widząc, że Marynia blizka łez*). W każdym razie panie pozwolą... idź Maryniu proszę.

MARYNIA (*wychodzi*).

SCENA II. *Ciż bez Maryni.*

P. OLIMPJA. Ale co to długo mówić—ten nicpoń do paniel cholewki smali, a tymczasem z mężatką romansiki co się zowie...

P. WILSKA. Więc i panie o tem slyszaly? Mój Boże! jakże mi żal biednego dra Falewicza!

P. WYRZYKOWSKA. O pani! niedługo już ten biedak będzie się męczył. Potrafią go usunąć ze swojej drogi.

P. WILSKA (*przerażona*). Ach co pani mówi!

P. OLIMPJA. Tak, tak! P. Wyrzykowska wie co mówi! Ja nawet chciałam zapytać dziś Księdza o radę, czy nie będzie to współnictwo w grzechu, jeśli zawczasu nie uprzedzimy policy o tych niecnym zamiarach..

P. WYRZYKOWSKA. Dziwię się, że pani potrzebuje się jeszcze radzić w tej kwestyi. Przecie najwyraźniej jest to 3-ci grzech cudzy: mogąc, a nie zapobiedz grzechowi—cóż tu jeszcze pytać księdza, dość umieć katechizm!

P. WILSKA (*opada bezwładnie na kanapę*). Pani? Co panie mówią? Co za zbrodnia? proszę mówić?

P. WYRZYKOWSKA. Oto może w tej chwili tego biedaka już na świecie niema! O Boże! i jeszcze na nas naprowadzą kłopotu, śledztwa, protokółów—Boże!

P. OLIMPJA. Ja opowiem, bo pani tak wzburzona tem, co się stało. Oto dziś rano oboje Falewiczowie wstąpili do apteki i ona prosiła p. Wyrzykowskiego o truciznę na szczury, a że bez recepty p. Wyrzykow. nie chciał wydać arszenniku, więc Falewicz sam podpisał receptę.

P. WYRZYKOWSKA. Cyrograf na własne życie! To straszne!
P. WILSKA. Tylko to? to przecież niczego nie dowodzi.
Wiem oddawna, że mają szczury w domu i zbierali się je łapać. Jak można przypuszczać co innego!

P. WYRZYKOWSKA. O jaka pani łatwowna! szczury są oddawna, a dopiero dziś zachciało się je tępić, kiedy się już tak skompromitowała, że trzeba wybierać między mężem, a kochankiem!

P. WILSKA. Ależ mąż niczego się nie domyśla—widziałam ich niedawno, są jak najczulej.

P. WYRZYKOWSKA. O tak! Faryzeuszka! Czuli się. I dziś w aptece się całowali. Ale to przecie nie może długo potrwać. Ktoś mu przecie oczy otworzy, jeśli jeszcze się to nie stało, a wtedy... straszno pomyśleć..

(*Nagle p. Olimpia do Wyrzykowskiej.*) Czy pani zostaje? Bo ja muszę, muszę się poradzić księdza w tej kwestyi... Nie miałabym spokojnego sumienia. Żegnam Szanown. Panią, P. Maryę proszę uściskać.

P. WILSKA. Ależ panie pozwolą chociaż herbaty, zaraz będzie—Proszę.

P. WYRZYKOWSKA. I ja odchodzę! Nie, dziękujemy pani bardzo. Do widzenia z panią kochaną. (*Konfidencyalnie*) Bóg czuwał nad panną Maryą, że się to zawczasu wydało.

P. WILSKA (*chłodno*). A cóż to ma do Maryni?

P. WYRZYKOWSKA. Ej! widzą sąsiedzi jak kto siedzi! Wszyscy mówią, że się starał o pannę Maryę. Ale trudno, ludzie się i od ołtarza rozchodzą...

P. WILSKA (*wyniośle*). Upewniam że się panie mylą...

P. OLIMPJA (*zjadliwie*). No, no, my co wiemy, to wiemy. I tak Bóg łaskaw—mógłby po ślubie romansować z mężatką... Ądiue pani kochana, (*na stronie do Wyrzykowskiej*) Patrzcie! co za tony nam robi—zamiast się zwierzyć po przyjacielsku! Gołe Państwo! proszę! (*odchodzą*).

P. WILSKA. Żegnam Panie!

(*Na stronie*). Ach plotkarki ohydne! szczęście że Marynia nie słyszała! Poco truć tę młodą duszę? Ale czy to być może, aby tu nietylko płochość była, ale i zbrodnia? to straszne!

SCENA III.

P. WILSKA i MARYNIA — Marynia (*wchodząc*). Mamusiu! już herbata gotowa! A? te panie poszły? to i dobrze, bo czułam, że przyszły z jakimiś plotkami. Takie miały miny, jakby mię chciały pocieszać po stracie konkurenta! Dobrze że sobie poszły.

P. WILSKA. Rzeczywiście! I ja odetchnęłam jak wyszły. Mówiły o temsamem. Widocznie więc to nie jest przywidzenie Kryńskiego, bo całe miasto wie o tem, tylko myśmy były ślepe i głuche.

MARYNIA. Aleśmy z tem były szczęśliwsze! To tak smutno coś złego o ludziach wiedzieć! Chciałabym zawsze być ślepą i głuchą—byle szczęśliwą!

P. WILSKA. Tak, ale dłużej ludzić się niepodobna. Trzeba się otrząsnąć i... nie liczyć na to.

MARYNIA. Trzeba zawsze liczyć na własną pracę przedewszystkiem.

P. WILSKA. Moja Maryniu! Nie bądź dzieckiem... Masz 24 lata (*mimowoli ogląda się*). Mogę to mówić, bo nikt nie słyszy.

MARYNIA. Powiedziałabym choćby wszyscy słyszeli — nie myślę sobie lat ukrywać.

P. WILSKA. No, no niema też potrzeby o tem publikować. Otóż w twoim wieku dawno już byłam mężatką!..

MARYNIA (*przerywając*). Bo się tak zdarzyło, a mnie nie pilno zresztą.

P. WILSKA. Otóż to! właśnie to najgorzej! Jak się ma niepotrzebnymi rzeczami głowę nabić, to się i nikt nie trafia i pannie nie pilno. Panienska powinna wierzyć, że jedynym celem jej życia jest wyjść za mąż, a nie deklamować o pracy, o społeczeństwie, co odstrasza każdego konkurenta.

MARYNIA (*uśmiecha się*). Już ja tego nie potrafię, a i niema kogo odstraszać.

P. WILSKA. Tak znów nie jest. Z Kryńskimi może przyjedzie syn ich, bo już skończył uniwersytet — ale jak ty zacznieš po swojemu... mężczyznom się to nie podoba... już ja dobrze wiem... a przecie to doskonała partya.

MARYNIA (*zdeenerwowana*). O moja mamusiu! Jakże mi to wszystko teraz nie w głowie!... Nie mówmy o tem (*chcąc zmienić rozmowę*). Może mama napije się herbaty.

P. WILSKA. Ty mnie ciągle zagadujesz. Mnie nie herbata w głowie, ale twój przyszły los. Co będzie teraz, jak już na tego doktora liczyć nie można..

MARYNIA (*uśmiecha się smutno*). Mamusia zacznie liczyć na młodego Kryńskiego, a ja po staremu na siebie samą. I „jakoś to będzie“, jak dawniej mawiano.

(*Słysząc dzwonek*). O znowu ktoś z kondolencją. Żebyż się to raz skończyło!

(*Idzie otworzyć — Po chwili wraca zmieszana, a za nią wchodzi Janicki*).

SCENA IV. Ciż i Janicki.

JANICKI. Dobry wieczór pani Dobrodziejce! Czy się co złego stało u Państwa? Panna Marya jakby zmieniona.

P. WILSKA (*smutno*). W istocie trochę niedomagamy obie. stąd i zmiana humoru może.

JANICKI. Dla zwykłego gościa byłoby to hasło do przerywania wizyty, ale tym razem błogosławię mój fach, który mi pozwala być natrętnym i zostać ofiarowując swoją lekarską pomoc w owym niedomaganiu. (*Zbliża się do Wilskiej, jakby zamierzał rozpocząć konsultację*).

P. WILSKA (*coraz chłodniej*). O nie! bardzo dziękuję, to zamało poważne cierpienie, aby potrzebowało porady lekarskiej. Zwykły ból głowy.

(*Janicki zmieszany nadrabia miną i zwraca się do Maryni*)

MARYNIA (*pomieszana walczy ze łzami*). Ja jestem zupełnie zdrowa... (*po chwili odważnie z głową podniesioną*) tylko... zmartwiona przykre mi wiadomościami o osobach, które dotąd uważałam za godne mojej... mojego szacunku. i... przyjaźni...

JANICKI (*jakby się namyślał co to może znaczyć*). Taki

zawód jest bolesny zapewne. Ale czy wiadomość tylko pewna? Może się Pani myli i nie potrzebuje jeszcze wyrzucać z serca tych przyjaciół, a przedewszystkiem martwić się.

MARYNIA. Chciałabym, aby tak było.

JANICKI (*ciszej patrzy na nią wymownie*). A gdyby nawet tak nie było, czyż nie znajdzie pani innych osób, któreby były warte jej przyjaźni i... szacunku?

MARYNIA (*spuszcza oczy*). Zapewne. Nie myślę o wszystkich ludziach — ale tych właśnie wolałabym nie tracić bezpowrotnie!

(*Znowu bierze na odwagę i patrzy mu prosto w oczy*) Dawno pan był u państwa Falewiczów?

JANICKI (*pod tem śledczem spojrzeniem mięsza się jakby myślał: czego ona chce, co to znaczy?*). Byłem wczoraj, nie, dziś, — to jest wczoraj. Dlaczego pani pyta? Czy tam się co złego stało. Pani tak dziwnie patrzy...

MARYNIA. Nie, nic. Zresztą, gdyby się co stało, pan by przecie najpierwszy wiedział, będąc tam tak częstym gościem. (*ostatnie słowa złośliwie, czego niedostrzega Janicki*).

JANICKI. Rzeczywiście bardzo często bywałem teraz, bo mogę z panią Falewiczową mówić o osobie, która mię najwięcej obchodzi, a którą ona zna jak siebie samą i kocha. Wyznajemy kult dla jednego bóstwa, więc się spotykamy.

MARYNIA (*ironicznie*). A tem bóstwem Eros.

JANICKI (*nie spostrzegając ironii*). Nie, nasze bóstwo bardzo chrześcijańskie nosi imię. Pani Falewiczowa cieszy się jego

względami — a ja choć mię moja współwyznawczyni krzepi czasem nadzieją — wątpię, a niemam odwagi zapytać...

MARYNIA (*ironicznie*). Współwyznawczyni tak ładna, że ten kult musi być przyjemny, pomimo owego mniemanego braku wzajemności...

JANICKI. I ładna, i miła, i dobra, i każe mieć odwagę — ale to tak trudno! Lepsza mała nadzieja, niż zła pewność.

MARYNIA. A ja myślę przeciwnie. Nie lubię fałszywych położeń.

JANICKI (*z miną jakby sobie mówił „raz kozie śmierć“*)
Może pani ma słusność. Ale kiedy tak — może mi pani odpowiedzieć, czy moje bóstwo pozwoli się uwielbiać i raczy spojrzeć przychylnie na swego wyznawcę i uwielbiciela... Panno Maryo?

(*Patrzy na nią wymownie, przy słowach „moje bóstwo“, bierze jej rękę i niesie do ust*).

MARYNIA (*przez tzy*). U nas niema politeizmu a pan podobno hołduje tej religii... A nie będąc bóstwem chciałoby się być jedyną wybraną. Wobec tego zaś co jest, stanowczo nie, Panie Stanisławie.

(*Wyrywa rękę i chce odejść, ale słychać dzwonek, biegnie otworzyć. Doktor zostaje z miną zdumioną i przybitą. Wreszcie podchodzi do p. Wilskiej, która cały ten czas w milczeniu robiła robótkę, obserwując z pod oka młodą parę niespokojnie*).

JANICKI (*z determinacją*). Pani szanowna! Kocham pannę Maryę i przed chwilą jej to powiedziałem, ale dała mi odpowiedź tak dziwną, że chyba tu zaszło jakieś nieporozumienie.

Posądza mię, że nie ją jedną kocham — jak gdyby to było możliwem! Nic nie rozumiem. Co w tem jest?

P. WILSKA (*trochę zmiękczona jego szczerym gościem*). Całe miasto mówi o panu i pani Falewiczowej!

JANICKI. Co? Ależ to niegodziwa potwarz!

(*Wchodzi p. Kryński, a Marynia wprowadziwszy go, wymyka się do drugiego pokoju*).

SCENA V. *Ciz i Kryński.*

Witam panią Dobrodziejką! Wracam raz jeszcze, choć okrutnie niemam czasu.

P. WILSKA. Witam kochanego Pana... Panowie się może nie znają: dr. Janicki, pan Kryński.

KRYŃSKI (*ściska rękę Janickiego*). Rzetelnie mogę powiedzieć, bardzo mi przyjemnie — bom tu przyszedł ex re pana konsyljarza.

JANICKI (*nieswój ogląda się często na drzwi*). Czem mogę służyć?

KRYŃSKI. To ja mam służyć! Mam jak ongi Gniewosz odszczekać pod ławą, co na pana tn nagadałem, (*wesoło*) panno Maryniu, a dajno tu jaką ławę! (*porywa złamany fotel*).

P. WILSKA. Ach, na miłość Boską nie ruszaj pan tego inwalida.

KRYŃSKI. No, to będę odszczekiwał bez ławy na wolnej stopie. Oto powiedziałem tu dziś tym paniom, że doktor bałamucisz panią Falewiczową, a to tymczasem ją bałamuci jej własny mąż.

MARYNIA (*wchodzi zarumieniona*) do Kryńskiego. Czy to pan mnie wołał?

KRYŃSKI (*wesoło*) A ja chciałem ławy — ale i bez ławy skończę. Otóż obecny tu doktor Janicki ładny chłopiec z wąsami blond, nic temu nie winien, że doktor Falewicz kocha swoją żonę, a ona jego.

JANICKI. Ach więc to to! rozumiem!

KRYŃSKI. Co pan rozumiesz? Jeszcze nic, bo nie skończyłem.

JANICKI (*do Maryni*). A jeśli teraz zapytam? (*wyciąga do niej rękę*).

MARYNIA (*zawstydzona podaje obie ręce*). Ja przepraszam za tamtą odpowiedź....

JANICKI. Czy to znaczy: dam inną?

MARYNIA (*uśmiechnięta kiwa głową i nie cofa rękę*). Kryński tymczasem opowiada dalej. Idę dziś podług adresu pani do doktora Falewicza, idzie ze mną jednocześnie doktor Janicki.—

JANICKI (*mimowoli odwraca się*). Nie, ja dziś tam nie byłem. Teraz pamiętam na pewno!

(*Marynia śmieje się głośno, co przypomina Janickiemu miłą rzeczywistość*).

KRYŃSKI. Czekajże pan, aż skończę! Dzwonię, wchodzę, ten za mną. Pytam służącego nie zważając na towarzysza: czy jest doktor Falewicz domu? A mój towarzysz kłania mi się: Jestem do usług!

Tableau! Także wysoki, także blondyn i ładny chłopiec. Zglupiałem! Zapomniałem języka w gębie, ale zaraz mu opowiedziałem, com narobił. Zawołał żonę, przedstawił mnie i śmieli się oboje z tego qui pro quo. Ale ja nie śmiałem się, bom sumienie miał nieczyste, żem tego młodego człowieka tak przed paniami oczernił.

Panno Maryniu widzisz więc... (*odwraca się i widzi tę parę ręką w rękę szepczących z sobą*) e e e! oni widzę i bez mojej pomocy się porozumieli. No to i chwała Bogu!

MARYNIA. Mamusiu, ponieważ to wszystko nieporozumienie, więc pewno pobłogosławisz mego narzeczonego.

P. WILSKA (*rozrzewniona*). Z serca moje dzieci (*całuje w głowę oboje*).

KRYŃSKI. Oho! Exstra—cugiem! Winszuję, winszuję! Ale na mnie wielki czas, spełniłem obowiązek i uciekam. Jakto dobrze, że się tak prędko wyjaśniło między nami.

P. WILSKA. Niestety! nie łudźmy się. Całe miasto wie i coraz gorsze robią przypuszczenia. Nie rozumiem nawet, jak to się mogło rozejść... (*patrzy znowu podejrzliwie na doktora*).

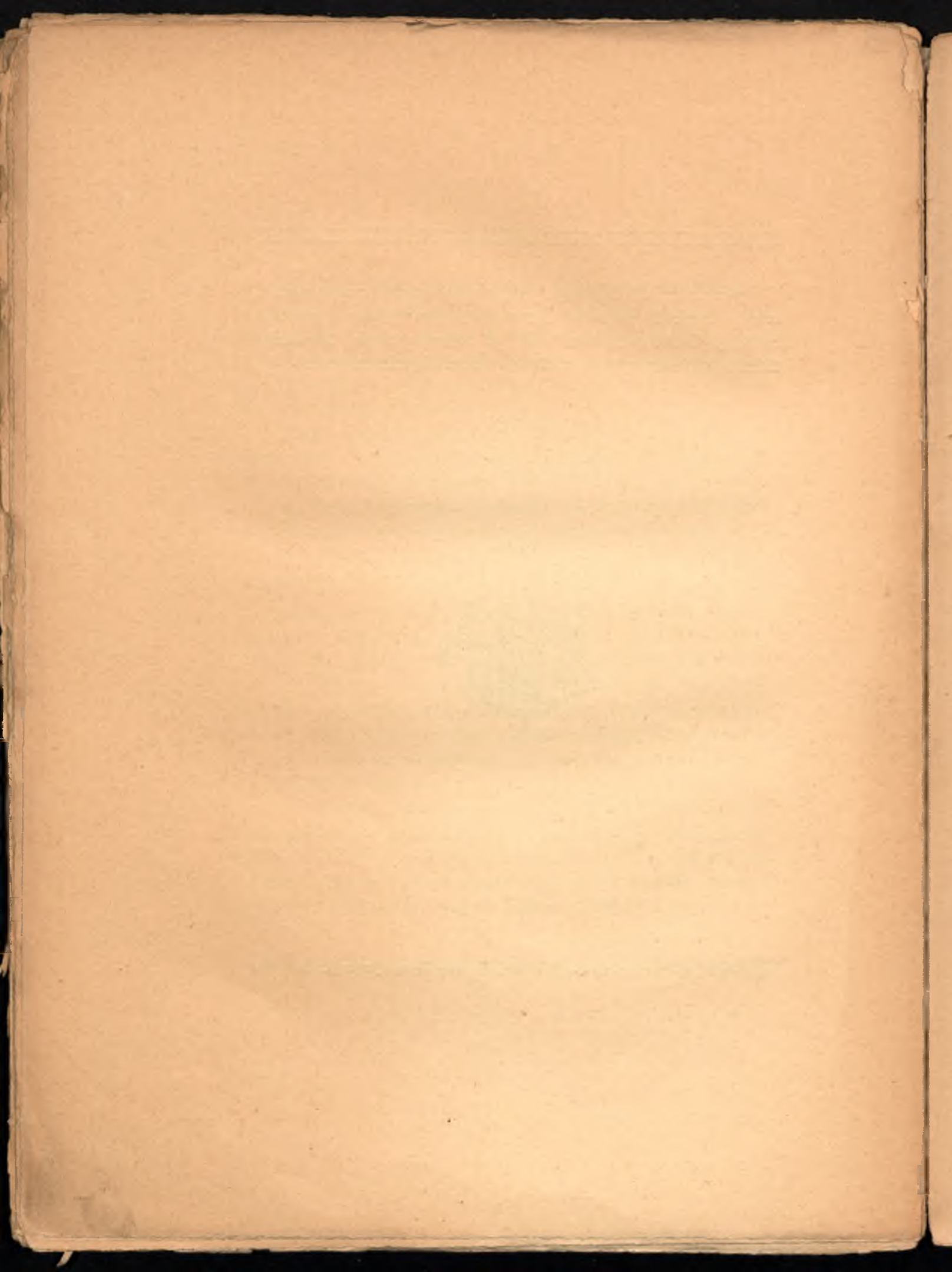
MARYNIA (*do Kryńskiego*), Eureka! pani Krumpel słyszała jak pan to mówił.

P. WILSKA (*uspokojona do Janickiego*). I nie miała nic pilniejszego jak powiedzieć znajomym. Do tego doszło, że kupiona dziś przez panią Falewiczową trucizna na szczury nie dawała spokoju sumieniom tych pań, czy nie należy ostrzedz policyi o zamierzanem mężobójstwie! (*Janicki śmieje się*).

KRYŃSKI. Plotka moja jak kula śniegowa tocząc się przez miasto, nabierała na siebie coraz nowe plotki złości i głupoty ludzkiej. O stary osioł ze mnie! A zdawało mi się, że jestem dobrze wychowany i do cudzych spraw się nie wtrącam!.

KONIEC.







Wolne żarty Łuckie.

Zdolniejszy uczeń.

Iks, bardzo zdolny, ciągle spaceruje z pannami, skubie wąsiki, a ma tylko dwie dwójki.—

Igrek zdolniejszy, chociaż jest w 4 klasie, ma już drugą narzeczoną—w grudniu 1907 r. był na piętnastu balikach, teatrykach i także ma tylko dwie dwójki.—

Heroiczny „postęp“.

Łuck dąży do postępu. —

Ależ, Panie, nawet do heroizmu!

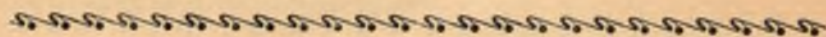
Co pan nazywa heroizmem?

„Zrzuciwszy powijaki“ wykąpać się w „śniegu“. —

Najbardziej się rozwija.

Dużo macie u siebie stowarzyszeń?

O! i to najrozmaitszych. —



Które najbardziej się rozwijają?

Dwa. — Jedno kulturalne, drugie naukowe.

?

Wzajemnej adoracji i Towarzystwo „taneczne“ —

Któreż to naukowe???

Taneczne, bo wciągają do niego najbardziej uczącą się młodzież. —

Niezawodny środek.

Desperatka:

Jaki środek na zepsucie młodzieży?

Moralistka tonem kaznodziejskim:

Moja Pani! Młodzież nasza zbyt optymistycznie patrzy na świat. Nie widzi zła, które ją otacza. Trzeba więc częściej prowadzić ją na sztuki teatralne, pokazujące zło w całej „nagości“. Z młodzieżą jak z drzewem! klin klinem moja Pani! —

Desperatka w zamyśleniu:

Ale co z drzewem będzie, jeśli klin klinem wysadzić? —



KSIĘGARNIA NAKŁADOWA
M. SZCZEPKOWSKIEGO

Warszawa, Nowogrodzka 23, telefon 56-44,

POLECA:

dla uświadomienia się w rzeczach wiary i najżywotniejszych
 kwestjach współczesnych następujące wydawnictwa.

	Cena Rb. kop
<i>Adamski X.</i> Chrystus — Bóg,	— .50
„ O zasłudzie wiary,	— .50
„ O charakterze,	— .80
„ Substancjalność i nieśmiertelność duszy ludzkiej w świetle rozumu,	3.—
<i>Ankieta Przeglądu Powszechnego.</i> Dzisiejsze zadania katolicyzmu w Polsce, . . . !	3.—
<i>Ardant</i> —Papież i Lud	— .30
<i>Badeni X.</i> Studja i szkice, 3 tomy,	4.50
<i>Biederlack X.</i> Kwestja społeczna. Przyczynek zrozumienia jej istoty i rozwiązania jej,	1.60
<i>Besson.</i> Bóg-Człowiek,	1.20
<i>Bougaud X.</i> Chrystyanizm i czasy obecne, dzieło apologetyczne. Dotychczas wyszło z tego cyklu: 1. Wiara i niewiara,	2.—
2. Jezus-Chrystus,	2.—
3. Kościół,	2.—
<i>Caro.</i> Nowe drogi, z przedmową X. Arcybiskupa Teodorowicza	— .60
<i>Cathrein.</i> Filozofia moralności, 4 tomy	4.—
<i>Charszewski X.</i> Dwa kazania polityczne	— .40
„ Dialog polemiczny o Tolerancji religijnej	— .30
„ W palącej sprawie młodzieży szkolnej	— .60
„ Wtóra podróż do Ciemnogradu	

	Cena Rb. kop.
<i>Ciemniewski X.</i> Poznanie i kształcenie charakteru 2 części	3.—
<i>Constantia.</i> O potrzebie wyższego wykształcenia dla naszych kobiet sfer inteligentnych	—25
<i>Czczott X.</i> Wiara. Konferencje apologetyczne	—75
<i>Duilhé de Saint-Projet</i> —Apologia naukowa Wiary chrześcijań- skiej	1.50
<i>Dzieduszycki.</i> Rzecz o uczuciach ludzkich	1.—
<i>Ernst.</i> Obowiązek rodzicielski	1.—
<i>Eger.</i> Masoni i Żydzi we wspólnej pracy	1.80
<i>Gabrysz X.</i> Chrystus jako Prorok	—40
<i>Gide.</i> Zasady ekonomii społecznej	4.—
<i>Gostomski.</i> Ponad stronnictwami	—30
<i>Gabryl.</i> Metafizyka	3.60
„ Logika	2.25
„ Psychologia	3.60
„ Nieśmiertelność duszy ludzkiej w świetle rozumu i nowoczesnej nauki	1.80
<i>Gryziecki X.</i> Duchowieństwo, a kwestja socjalna,	1.50
<i>Głosy na czasie.</i> Wyszły dotąd następujące:	
1 Adamski X.—Religia i moralność,	—30
2 Rzymski — Wartość dóbr doczesnych w świetle religii chrześc.,	—30
3 Horowicz—Nieudane próby państwa socja- listycznego,	—15
4 Ruczyński—„Cel uświęca środki,“	—30
5 Hozakowski—Jak dawno człowiek żyje na ziemi,	—30
6 Ruczyński—Kościół i kultura	—40
7 Dennert—„Niech się stanie!“ Obraz stwo- rzenia,	—30
8 Kantak — Państwo, naród. jednostka,	—40

	Cena Rb. kop.
9 Stark—O przyczynach występków i sposobie ich zwalczania	—30
10 Riehm—Potop. Studium etnologiczno-przyrodnicze	—30
11 Kantak—Obowiązki społeczne i narodowe	—30
<i>Hello.</i> Z życia i ze sztuki	1.50
<i>Hortyński X.</i> Walka o światopoglądy	—30
<i>Ideal a młodzież</i>	—50
<i>Ireland X.</i> Kościół i czasy obecne	—50
<i>Janiszewski X.</i> Kościół i Państwo	1.80
<i>Jaroszyński.</i> Katolicyzm socjalny	1.—
<i>Kopyciński X.</i> <i>Dokąd dążymy?</i>	1.50
<i>Klimke X.</i> Spółczesne światopoglądy	—20
<i>Kęczkowska.</i> Promyki—poezje	1.—
<i>Lipke X.</i> Nowe kierunki społeczne i ideały przyszłości . . .	1.50
<i>Mausbach.</i> Starochrześcijańskie i współczesne pojęcia o powołaniu kobiety	1.—
<i>Mieszkis X.</i> Katolicyzm a reforma	—60
<i>Milewski i Czerkawski.</i> Polityka ekonomiczna, 2-my in 8 mg.	8.—
<i>Mohl.</i> W pogoni za prawdą, serja I, II, (serja III i IV, w druku)	2.20
<i>Monlaur.</i> Promień. Powieść budująca z czasów Chrystusa Pana	—80
„ Po dziewiątej godzinie. Powieść z pierwszych czasów chrześcijaństwa	—90
<i>Morawski X.</i> Podstawy etyki i prawa	1.50
„ Wieczory nad Lemanem	1.—
„ Celowość w naturze	1.—
„ Filozofia i jej zadanie	2.70
<i>M. W. X.</i> Kilka słów luźnych o socjalizmie i kwestji socjalnej	—40
<i>Naudet X.</i> Nasz obowiązek społeczny	1.—
„ Dlaczego katolicy przegrywali	—30

	Cena Rb. kop.
<i>Naudet X.</i> Główne zasady socjologii	—30
<i>Obserwator.</i> Co robić?—Pogadanki o kwestjach pałacych . .	—30
<i>Odczyty popularne</i> , Poznań, zeszyt po 5 kop,	
<i>O pracy społecznej</i>	—40
<i>Pelczar X Biskup.</i> Medycyna Pasterska	3.15
<i>Pesch X.</i> Weź i czytaj, (dla inteligencji)	—75
<i>Podwin X.</i> Drogowskazy. Listy do młodego przyjaciela . .	1.50
<i>Rostworowski X.</i> Liberalny katolicyzm	—40
<i>Siedem</i> wykładów o kwestji społecznej i socjalizmie	—50
<i>Straszewski.</i> Czynniki rozstroju i spójni w społeczeństwie .	—15
„ Filozofia Ś-go Augustyna	2.50
„ Religia przyszłości	—25
<i>Szczęśny X.</i> Wiedza chrześcijańska i bezbożna wobec zadań społecznych	2.60
<i>Tyszkiewicz.</i> Uwagi o chrystyanizmie i nauce	2.25
<i>Trzeciak X.</i> Chrystus Pan a kwestja socjalna	—30
„ Oświata a dobrobyt	—15
<i>Trzeciński X.</i> Krótki przewodnik pracy społecznej	—65
„ Praca społeczna częścią dusz pasterstwa	—15
<i>Teodorowicz Arcyb.</i> Katolicyzm a cywilizacja	—30
„ O modernizmie	—10
<i>Ventura de Raulica X</i> Posłannictwo katolickiej niewiasty, 4 tomy	6.—
<i>Wiecki X.</i> Z polskiego ruchu etycznego	—15
<i>Wyznania</i> Ś-go Augustyna	1.—
<i>Zimmerman X.</i> O potrzebie społecznej działalności ducho- wieństwa	—50
<i>Żukowski X.</i> O źródłach niewiary	2.50

Przegląd Powszechny. Naczelny Redaktor *ks. Jan Pawełski T.J.*
Zadaniem „Przeglądu Powszechnego“ jest szerzyć znajomość za-

sad katolickich i w ich świetle omawiać co donioślejsze i aktualne kwestje, pojawiające się na polu społecznym, naukowym i literackim. W tym celu umieszcza „Przegląd“ artykuły zasadnicze o wypadkach współczesnych; rozprawy naukowe z dziedziny teologii, filozofii, historii i innych umiejętności; lżejsze utwory literackie i estetyczne, wrażenia z podróży, monografie i t. p., krytyczny przegląd ważniejszych dzieł i pism polskich i zagranicznych; sprawozdania i korespondencje o współczesnym ruchu religijnym, naukowym i społecznym w kraju i zagranicą.

Wychodzi w Krakowie od r. 1884 w połowie każdego miesiąca w zeszytach 9–11 arkusz. w 8-ce wielkiej.

Prenumerata roczna
w Warszawie Rb. 10.—
na prowincji „ 11.50

Administracja na Królestwo i Cesarstwo: Księgarnia M. Szczepkowskiego w Warszawie—Nowogrodzka 23.

Ruch chrześcijańsko - społeczny — Dwutygodnik wydawany w Poznaniu pod Redakcją *Ks. Kan. St. Adamskiego*.

Prenumerata roczna w Warszawie 3.60
na prowincji 4.20

Księgarnia M. Szczepkowskiego—zakłada i kompletuje Biblioteczki dla młodzieży, dla ludu, zakłada czytelnice.

Przyjmuje przedpłatę na wszystkie pisma krajowe i zagraniczne, po cenach redakcyjnych. Posiada wielki zapas dzieł teologicznych, liturgicznych, filozoficznych, społecznych i religijno-moralnych.



Popierajcie swoich!

OGŁOSZENIA.

APTEKA
Gukklera i Buszowskiego
===== **W ŁUCKU** =====
i fabryka limoniady i wody salcerskiej w najlepszym gatunku.

Józef Swierczek  **W ŁUCKU**
Skład Fortepianów i Pianin **gub. Wołyńska**
dom katedralny

poleca instrumenty z pierwszorzędnych fabryk: **J. Beckera,**
K. Schröedera, Bettinga i in. po cenach umiarkowanych.

Pianina od 375 rb i wyżej, na raty po 15 rb. miesięcznie.

Pierwszorzędna Apteka
Franciszka Złockiego
w Łucku.

FRYZJER **FIRMA** **„JOZEF“** **PEC** **W ŁUCKU**

ŁUCKIE TOWARZYSTWO SPOŻYWCZE „INTERNATIONAL“

Poleca: Wina węgierskie, francuskie, reńskie, burgundzkie, krymskie, kaukaskie i kachetyńskie. Miody, koniaki, likiery tak krajowe jak zagraniczne, porter i piwa różnych gatunków, wódki specjalne. Towary kolonialne w wyborowych gatunkach oraz wielki wybór towarów w zakres gastronomii jak również codziennego użytku wchodzących. Ceny niskie, obsługa staranna.

! Przyjdźcie, a zobaczycie !

Magazyn mód i Galanteryi

pod firmą:

„AU BON MARCHÉ“

W ŁUCKU NA WOŁYNIU

Poleca Sz. Publiczności różne nowości sezonowe ostatniej mody jako to: Kapelusze damskie, konfekcję damską i dziecięcą, oraz najrozmaitsze artykuły do damskiej toalety niezbędne.

Ceny umiarkowane.

Magazyn „ŻYRARDÓW“ w Łucku

poleca: Towary wełniane, pluszowe, jedwabne, lniane, bawełniane. Bieliznę męską damską — całe wyprawy. Trykotowe wyroby pończosznicze. Kołdry atlasowe, wełniane, bawełniane „na wacie“ i różnego rodzaju Galanterję.

Pierwszorzędny Hotel Polski
i Restauracya

„WIKTORJA”

w Łucku na Wołyniu
vis-à-vis Sądu Okręgowego


.....

Loutzk Hôtel et Restaurant
le plus renommé

„WIKTORJA”

vis-à-vis de Palais de Justice



Hotel „Wołyński“ pokoje duże, wygodne przy hotelu
stajnia i wozownia. Ulica główna
(b. Saski) **KACZOROWSKIEGO** Szosejna, 2 piętrowa kamienica. Na
zamówienia obiady i kolacje; cena
numeru od 50 kop. do 2 rub. 




UWAGA. Pod tą samą firmą jest hotel żydowski, proszę więc wyraźnie
mówić dorożkarzom: „do Hotelu Wołyńskiego KACZOROWSKIEGO. ==



MAGAZYN „Towarzystwo W. Starzyński“

Handel Win i Towarów Kolonialnych
ŁUCK gub. Wołyńska



Łuckie Towarzystwo Rolnicze

posiada w sklepie wszystkie niezbędne w rol-
nictwie i gospodarstwie domowym towary. 

 książki do nabożeństwa, obrazy, obraz-
ki i medaliki u **KRUKOWSKIEGO** przy
katedrze w Łucku. 

Przepisuje na maszynie
po polsku i po rosyjsku
Marja Wejchert,
dom Katedralny. ŁUCK.

Cieśla
Wincenty Wiszniewski
przedsiębiorca budowlany
buduje i restauruje: Kościoły, domy, stodoły, śpich-
rze i t. d.
ŁUCK, dom własny.

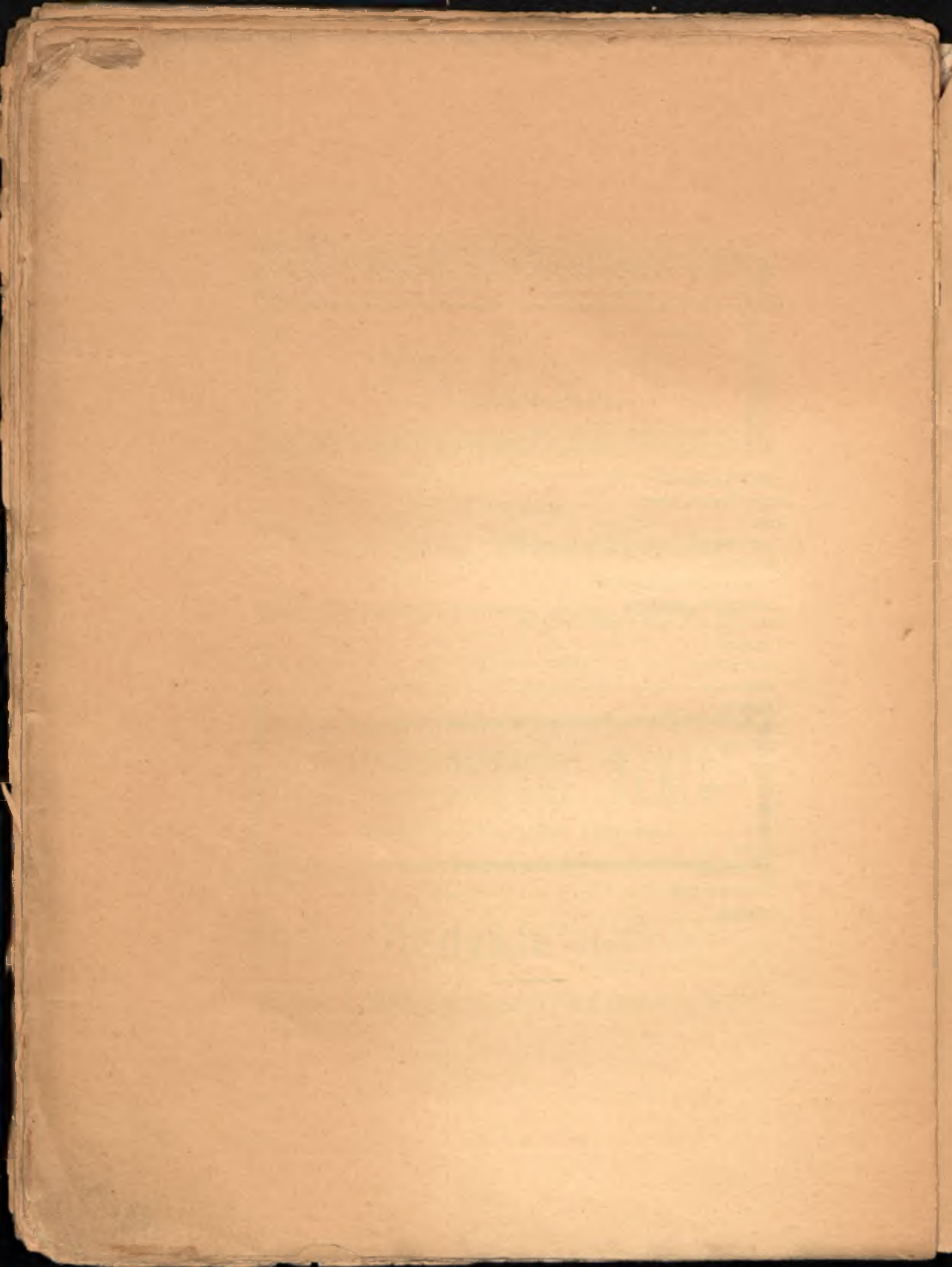
PIERWSZORZĘDNY „SZULC”
STOLARZ
ROŻYSZCZE, dom własny.

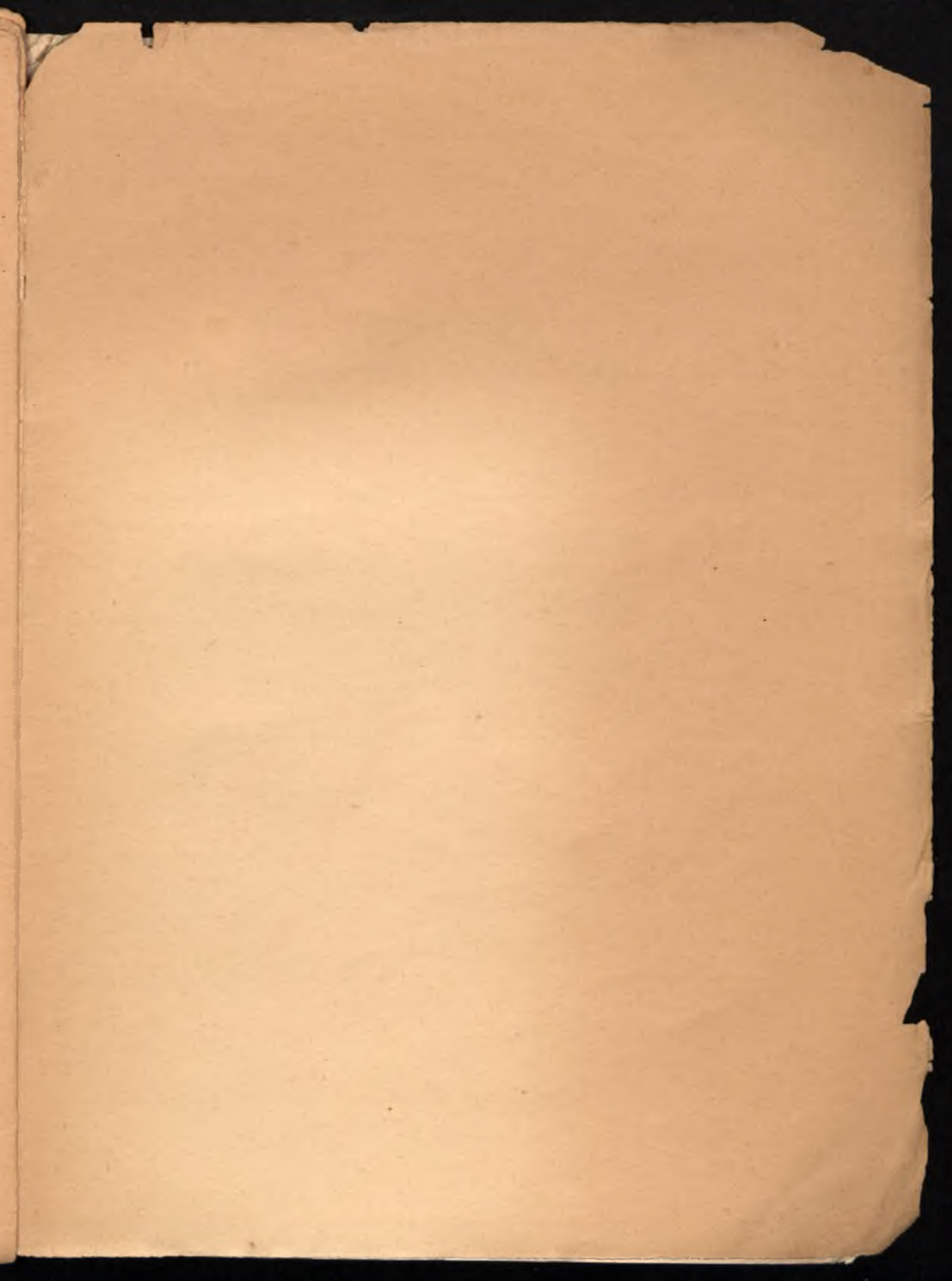
P. P. Olędzkie Przyjmują wszelkie
roboty w zakres kra-
wiewictwa wchodzące.
ŁUCK, mury szarytkowskie.

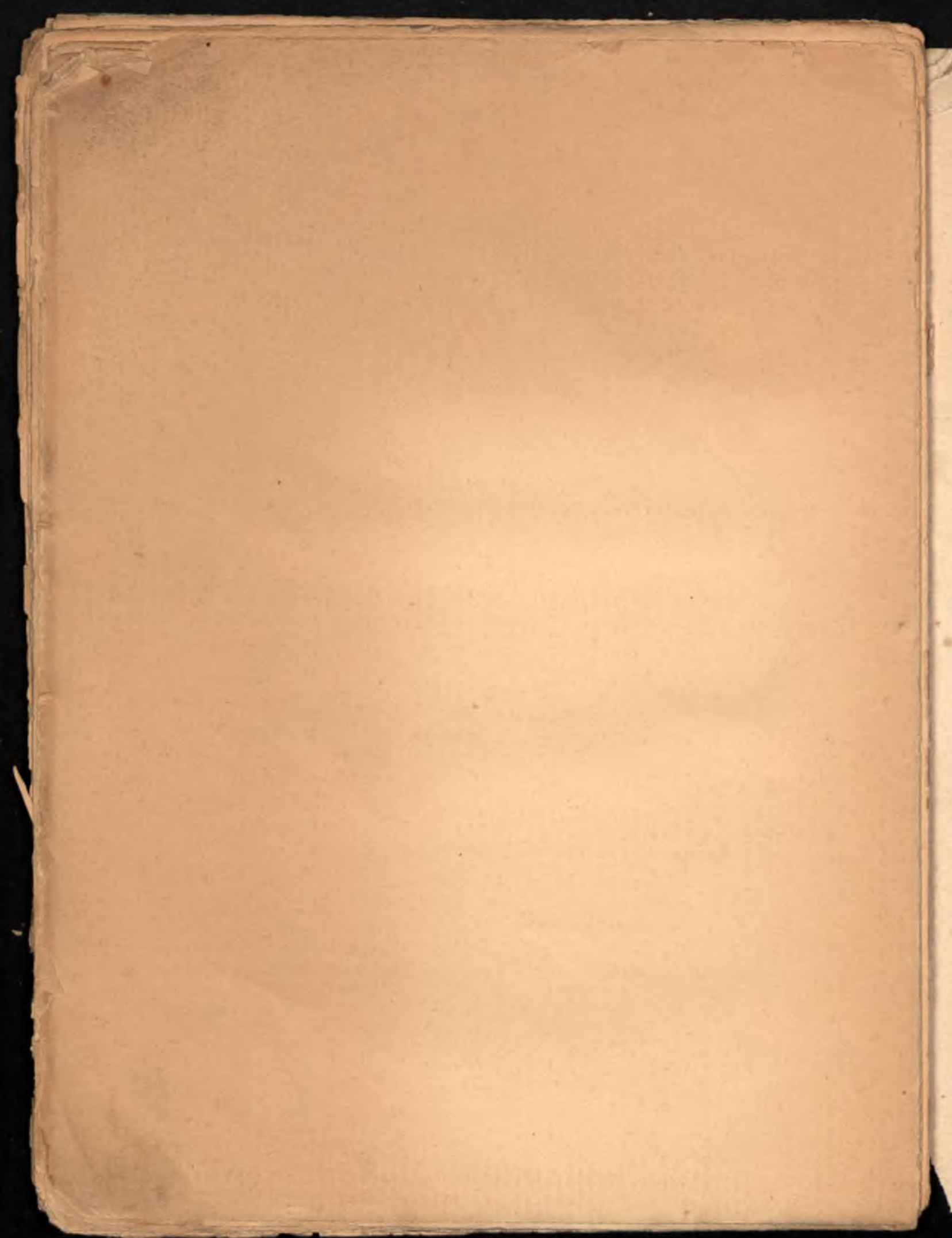


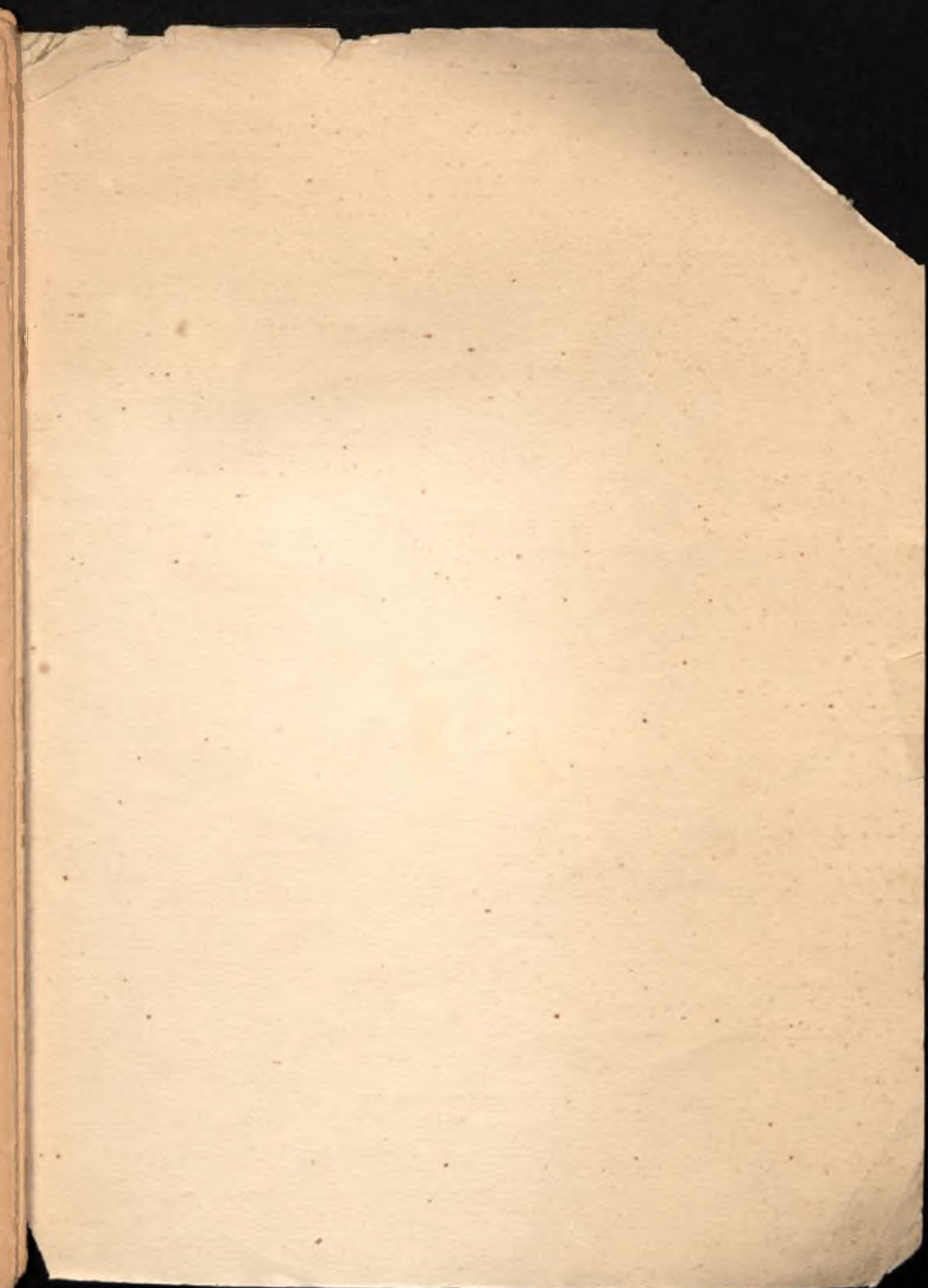
SPIS RZECZY.

	<i>Str.</i>
Zamiast przedmowy	5
Rzym i kwestya rzymska	13
Łuck	24
Cave Canem!	33
Nawrócony	35
O Katedrze Łuckiej słów kilka	50
Z zamierchłej przeszłości	52
Przyczynek do historyi Karaimów w Łucku	54
Ojcie nasz	68
Usque ad finem	70
Kasia	72
O zmroku	79
Nastrój	84
Z Wawelu	86
Szept	89
Hej piosenko	91
Baśń	94
Sokół	97
Daj pić	100
Kula śniegowa	104
Wolne żarty Łuckie	129
Ogłoszenia.	









Biblioteka im. Hieronima
Lopacińskiego w Lublinie

992 c